

Chotnicka

PISSMO P.S.K.

Rok II

Październik, 1944 r.

Nr 13





Warszawa podczas okupacji zimą 1940 r.

TREŚĆ NUMERU

- | | | | |
|---|---------------------------|--|----------------------------|
| 1. Psalm | | 11. Oni i my | <i>J. Szumicka</i> |
| 2. Niepokój naszych cza-
sów | <i>Witold Leitgeber</i> | 12. Drajwerka | <i>Seweryn Ehrlich</i> |
| 3. Ballada o Europie | <i>Stanisław Baliński</i> | 13. Spotkanie z pancernia-
kami | <i>Regina Kaplukiewicz</i> |
| 4. Na pogorzelsku War-
szawy | <i>Jarosław Żaba</i> | 14. Jedzie wóz dźwiękowy | <i>B. Z. Znowski</i> |
| 5. Zwykłe matczyko | <i>Maria Pawlikowska</i> | 15. Walentowa mówi | <i>Walentowa</i> |
| 6. Warszawianki | <i>Jerzy Bazarowski</i> | 16. Kobieta serbska poprzez
wieki | <i>Perunika</i> |
| 7. Motyw wojenny | <i>Józef Żywina</i> | 17. Anita Garibaldi | <i>Aurora Beniamino</i> |
| 8. Treść wojny | <i>Stefania Łomnicka</i> | 18. Ś. p. Maria Parczewska | |
| 9. Drugi rok „Ochotniczki“ | | 19. Te inne ochotniczki | <i>Jerzy Puszczyński</i> |
| 10. „Był sobie krawiec Dra-
tewka“ | <i>Siostra Maryna</i> | 20. Kronika | |

WŁOCHY 1944

„Ochotniczka“ ukazuje się raz w miesiącu

Wydawca: Oddział Propagandy i Kultury A.P.W.
Redaktorka Naczelna: dr. Herminia Naglerowa
Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 58

„Ochotniczkę“ nabywać można w Referatach Prop.
i Kultury A.P.W., w Oddziałach P.S.K., w Kanty-
nach polowych oraz Świątlicach

Cena 20 lirów

Wydano w Ciężkiej Drukarni Polowej A. P. W.



Warszawa walczyła do ostatka

PSALM LVII

1. *Jeśli naprawdę sprawiedliwość ma mówić przez usta wasze: sądzieź sprawiedliwie, synowie ludzcy.*
2. *Wy bowiem w sercu obmyślacie złość — na ziemi serca wasze czynią bezprawie.*
3. *Odstępcami są bezbożni od urodzenia; z maleństwa chodzą drogami krzywymi. Mówią kłamstwa.*
4. *Jad noszą jak węże; jak żmija głucha i zatulająca uszy swe,*
5. *która nie słyszy głosu zaklinacza — głosu czarownika, co zamawia mądrze.*
6. *Pokruszy Bóg zęby ich w ustach ich. Lwie zęby połamie Pan.*
7. *W niwecz się obróć jak woda, co zbiega. Naciągają swe łuki aż padną bezsilni.*
8. *Znikną jak воск, co topnieje, spadnie na nich ogień i nie ujrzą słońca.*
9. *Zanim ciernie wasze urosną w krzaki — żywcem zniesie je w gniewie Swym.*
10. *Będzie się weselił sprawiedliwy, gdy ujrzy pomstę. We krwi grzesznika umyje swe ręce.*
11. *I będą mówili ludzie: — zaprawdę jest nagroda sprawiedliwemu; zaprawdę jest Bóg, który ich sądzi na ziemi.*



Warszawa
Rynek Sta-
rego Miasta

NIEPOKÓJ NASZYCH CZASÓW

Do duszy człowieka, obserwującego wydarzenia w świecie w czasie ostatnich lat, zakrada się na ich widok niepokój, przygnębienie, zakrada się pesymizm i niewiara, by świat ten mógł się zmienić na lepszy, szczęśliwszy. Ostatnie wydarzenia polityczne potęgują te nastroje. Hasła, prawdy, głoszone idee prawie z dnia na dzień zmieniają się, tracą swą wartość. To, co wczoraj świat ogłaszał za piękne i dobre — dziś staje się zapomniane i niepotrzebne. To, co wczoraj było uosobieniem wzniosłości, dziś się plugawi, to, co wczoraj było złe, dziś się idealizuje.

Ludzie zatracili równowagę. Kręgosłup, który trzyma ciało we właściwej pozycji został skrzywiony, a nieraz nawet odnosi się wrażenie, że tego kręgosłupa wogóle nie ma. Z tej chwiejności rodzi się w świecie chaos, który dowodzi, że cywilizacja europejska przechodzi chorobę — chorobę, która stać się może dla tej cywilizacji śmiertelną, o ile nie weźmie się do jej leczenia natychmiast energicznie.

Główną przyczyną tej choroby — jest naszym zdaniem — fakt, że Europa i świat cywilizacji europejskiej daleko odeszły od swych podstaw zarówno w życiu prywatnym, jak i w życiu publicz-

nym: i to w stosunkach wewnętrznych poszczególnych państw, jak również w stosunkach między narodami.

Europa oparła swą cywilizację na puściźnie Grecji i Rzymu oraz na wierze i moralności chrześcijańskiej. Pojęcia prawa, porządku, pojęcia człowieka, który ma duszę nieśmiertelną i dla którego wartości najwyższe nie są z tego świata, a dalej zasada moralna, że dobro drugiego należy respektować na równi ze swoim własnym — leżą u podstaw cywilizacji europejskiej. Z tych korzeni wyrosło z biegiem wieków wspaniałe bujne drzewo naszej cywilizacji, które swymi konarami obejmowało wszystkie nowopowstające przejawy i dziedziny życia ludzkiego. Nowe instytucje i zwyczaje Europy czerpały swe soki żywotne z tego samego źródła cywilizacji.

Równoległe jednak do tego świata cywilizacji europejskiej rozwijał się inny świat, odmienny, świat zwany przez nas — barbarzyńskim, w którym człowiek nie był równy człowiekowi, w którym siła przeciwstawiała się prawu, w którym panowała inna moralność. Jednym słowem świat, który jest zaprzeczeniem wartości stanowiącej dla nas podstawową treść pojęcia cywilizacji i kultury. Ten świat barbarzyński zagrażał nieraz

w historii Europie od zewnątrz i zagraża też dzisiaj, chcąc się narzucić światu cywilizacji europejskiej. Europa potrafiła jednak dotąd przez święte Genowefy, Karolów Młotów, Sobieskich stawiać temu barbarzyństwu zwycięsko czoło i trzymać je z dala od siebie.

Z biegiem lat niebezpieczeństwo barbarzyństwa w znaczeniu świata odmiennych pojęć, zaczęło zagrażać Europie od wewnątrz. Pojedynczy ludzie lub grupy ich, albo nawet całe narody, które nie przejęły się do głębi duchem cywilizacji europejskiej, zaczęły we wnętrzu Europy budować świat innych pojęć lub pojęcia cywilizacji europejskiej wykoszlawiać. W tym nowym barbarzyńskim świecie nie było często Boga, lub Bogiem stawał się człowiek. W tym nowym świecie zaczęto szukać najwyższych wartości tutaj na ziemi, kazać wierzyć tylko w walory doczesne, postęp materialistyczny. Prawo do życia miało przysługiwać silniejszym, bogatym. Zapomniano o interesach ludzi słabych, ubogich. Wmawiano, że narody małe nie mogą istnieć, że decydują w świecie tylko wielkie obszary, wielkie potencjały gospodarcze, że życiem ludzkim można kierować jak bezduszną maszyną, nie biorąc pod uwagę pierwiastków duchowych człowieka. Zaczął się jawny lub ukryty powrót do stanu dzikości, gdzie przemoc, siła żelaza i motoru miała decydować o wszystkim.

Równocześnie zaczęły także występować w świecie cywilizacji europejskiej objawy barbarzyństwa biernego w postaci miękkości i chwiejności w przestrzeganiu oraz stosowaniu zasad naszej cywilizacji. Znużenie, zanik instynktu walki w obronie zasad, wyczerpanie i materialistyczny kult wygody — oto dalsze objawy tego stanu, który nazwalibyśmy barbarzyństwem biernym.

Europa, która nie tylko musi walczyć z barbarzyństwem zewnętrznym, ale która także walczyć musi z barbarzyństwem agresywnym i biernym wewnątrz swego organizmu, została rozbita i zaczęła popadać w chaos rodzący niepokój naszych czasów, jaki nas wszystkich ogarnia na myśl o przyszłości. Europa stała się cyniczna i grozi jej, że stanie się — anarchiczna.

Popatrzmy się, jak w świetle tego rozbioru przedstawia się w ciągu ostatnich lat jeden tylko odcinek życia cywilizacji europejskiej, mianowicie odcinek życia między narodami.

Pierwsza wojna światowa kończyła się przy akompaniamencie głoszonych zasad prawdziwie europejskiej cywilizacji. Równość narodów i ludzi, prawo do życia dla wszystkich, sprawiedliwość oparta na moralności chrześcijańskiej i prawie narodów, wierność danemu słowu — była wśród haseł naczelných.

Gdy jednak przystąpiono do urzeczywistnienia tych zasad, wkrótce zaczęto zapominać o wielu prawdach. W samym statucie Ligi Narodów, która miała zapoczątkować nową erę w stosunkach międzynarodowych, zasada równości została opuszczona i świat podzielony został na wielkie mocarstwa i mocarstwa o „ograniczonych interesach”.

Statut Ligi Narodów nie położył nacisku na fakt podstawowy, że zobowią-

zania państw są zobowiązaniami prawa moralnego, które istniało zanim państwa powstały i które obowiązują, czy kto chce, czy nie chce. Państwa zobowiązały się do przestrzegania paragrafów statutu z powodu fałszywych pobudek i dlatego były one porzucane przy każdej sposobności, gdy „interes” zderzał się z „zobowiązaniem”. Mocarstwa wielkie nigdy faktycznie nie były zobowiązane prawami Ligi Narodów; prawa te były rzadko stosowane w ważniejszych sprawach, a często gwałcone.

Już w roku 1923, kiedy Mussolini nakazał zbombardowanie greckiego Korfu, rozpoczęła się seria aktów, gdzie siła decydowała przed prawem. Przyszedł okres, który miał się stać sprawdzianem, czy zasady stanowią przesłanki postępowania, czy mają realne znaczenie. I próba ta zawiodła.

W r. 1935 cesarz Abisynii wołał do cywilizowanego świata:

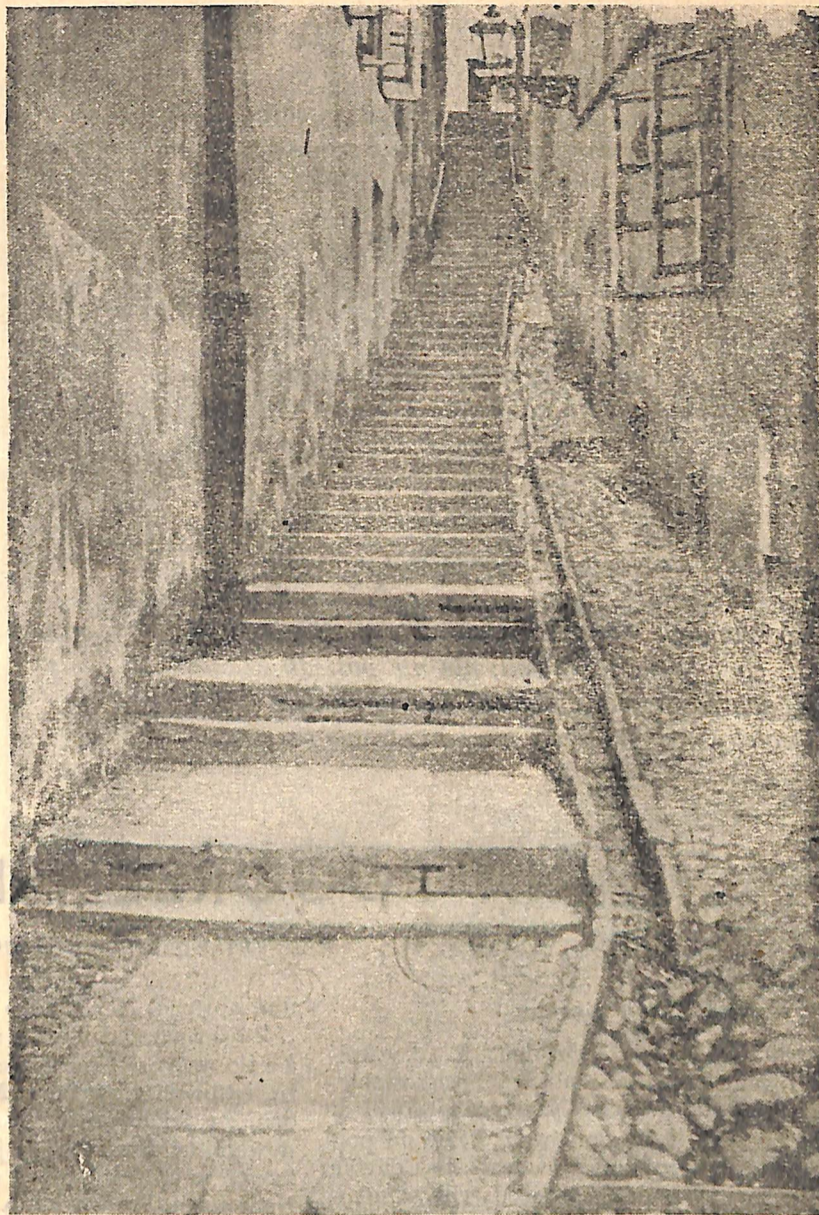
„Czy ludzie na świecie nie zdają sobie sprawy, że walczę do ostatniego tchu spełniam nie tylko święty obowiązek wobec mego własnego narodu, lecz że także bronię ostatniej pozycji zbiorowego bezpieczeństwa? Czy ludzie na świecie są tak ślepi, że nie widzą, iż spełniam także mój obowiązek wobec całej ludzkości? Muszę zdzierżyć, aż nie pojawi się z odsieczą mój spóźniony sprzymierzeniec. A jeśli on nigdy nie przybędzie — wtedy powiem proroczo: świat Zachodu chyli się do upadku”.

Europa nie dopowiedziała na ten apel. Barbarzyństwo bierno zaczęło trawić od wewnątrz świat cywilizacji europejskiej. Rozpoczął się okres ignorowania zasad, nie dotrzymywania słowa. Zniechęcała obawa wojny, wojny sprawiedliwej w obronie prawa, owo słynne „appeasement” były odpowiedzią chorego świata cywilizacji zachodniej na agresywne barbarzyństwo. Proponowane przez Polskę w roku 1933 i 1936 działania zbrojne przeciw gwałcicielowi zasad zostało odrzucone przez wylękniony Zachód, który stracił zwykłą roztropność i zdolność przewidywania.

W świecie rodzi się niewiara w słowo, w przyrzeczenia. Cały świat przekonuje się na własnej skórze, że szlachetne słowa, wielkie idee zostały zdradzone. Wielu ludzi dochodzi do smutnego wniosku, że nie ma stałych prawd i podstaw, że nie ma w co wierzyć, że nie ma na czym oprzeć swych nadziei.

Po Abisynii nadeszła Nadrenia, Austria, Monachium, Czechosłowacja, Albania. Za każdym razem nowe tysiące ludzi przechodzą na stronę barbarzyństwa agresywnego, na wiarę, że w świecie tylko siła coś znaczy.

I nadszedł dzień 1 września 1939 roku, w którym zderzyły się dwa światy pojęć. Z jednej strony świat ludzi, którzy wierzą, że ten, kto posiada przewagę materialną ma prawo panować nad słabszym, oraz drugi świat wierzący w wartości duchowe, dla których ponad wartości materialne, doczesne istnieją jeszcze inne dobra: dla nich warto umierać, a bez nich nie warto żyć. Krok Polski dla tak wielu z początku nie zrozumiały, szaleńczy, „romantyczny”, był buntem świata cywilizacji duchowej, eu-



Warszawa
Kamienne
Schodki

ropejskiej przeciw materialistycznemu światu barbarzyństwa.

Krok Polski nadał sprawie Sprzymierzonych w obecnej wojnie — w której uczestniczyli tylko Narodów Zjednoczonych — charakter wojny świętej, wojny o ideały Europy wiecznej, chrześcijańskiej. Dlatego więc słusznie powiedziano, że stosunek świata do sprawy polskiej będzie pobierzem szczerości, z jaką walczymy o sprawiedliwość. Gdyby z wyciężyć miały tezy barbarzyństwa, gdyby okazać się miało, że świat wyżej ceni przemoc i oportunistyczny, niż wartości duchowe cywilizacji europejskiej oraz heroizm i poświęcenie w obronie ich składane — wtedy przekonaliśmy się, że wojna obecna była wysiłkiem daremnym. Dlatego, powtarzam, stosunek mocarstw do sprawy polskiej nie jest stosunkiem wobec Polski samej, ale będzie sprawdzianem ich stosunku do zasad cywilizacji europejskiej. Wojna obecna nie może zakończyć się kompromisem, ale musi jasno rozstrzygnąć: albo za, albo przeciw odwiecznym ideom Europy.

Wojna obecna nie jest tylko walką o takie lub inne interesy między tym a

innym narodem, ale walką o same podstawy życia europejskiego.

Droga naprzód, ku lepszej przyszłości, wiedzie — wstecz. Trzeba nawrócić z mylnej drogi ku podstawom naszej cywilizacji, i na tych podstawach budować dalszy postęp życia.

Trzeba uszanować przyrodzony porządek rzeczy, który na pierwszym miejscu stawia Boga, potem dopiero człowieka, rodzinę, naród, państwo i społeczność narodów. Trzeba uszanować prawa każdego z nich.

Należy dalej pamiętać, że każdy człowiek ma prawo do życia, do wolności, do założenia rodziny, do własności. Podobnie każdy naród ma prawo do życia, do wolności, do rządzenia się według swoich zwyczajów, do niezawisłego życia gospodarczego.

Prawdy te wydają się tak znane, tak możnaby powiedzieć — banalne, a jednak są tak zapoznawane. Bez powrotu do nich, bez wcielenia ich w życie w atmosferze szczerości, sprawiedliwości i miłości, pokój prawdziwy nie zapanuje na świecie.

Dlatego jednym z zasadniczych zadań powojennych stać się powinno wychowanie młodzieży w tym duchu. Dlatego co raz głośniejsz rozlega się wołanie, przejętych niepokojem o losy Europy i świata, o nowy zakon ludzi, którzy potrafią odrodzić stosunki między narodami i natchnąć je odnowioną wiarą.

(„Polska Wależąca”) Witold Leitgeber

BALLADA O EUROPIE

*Jak w balladzie, co kryje ciemnych przeczuć ziarno,
Przybliża się twój wieczór i twój sen... Już czarną
Smugą zaszedł horyzont i padają czary
Na twój dom niedosytu — na kotywent stary.
Kamień tobie pod głowę, ciernie twoim stopom,
Śpij cicho, nieszczęśliwa, piękna Europo.*

*Gdy się tylko rozegra finał twych wydarzeń,
Zamknąć ci okiennice, dodać trochę marzeń
Do półmroku, gdzie kolor ruin i atlasu
Przemiesza się ze smutkiem krwawiącego czasu;
Ogrodom dać zarosnąć różą i pnączami,
I zasnąć. I już odtąd nie być między nami.*

*Dokoła pieśń o tobie wyrośnie. I śpiewnie
Zacznie świat szeptać znowu o Śpiącej Królowie
I o wojnach okrutnych, jakie dla niej wiedli
Ci, co ją posiadać chcieli, ale nie posiadli;
Nasłuchiwać snów twoich, Europo, będzie,
Twoich snów, których jawy nigdy nie posiadzie.*

*Jak długo będziesz spała, o królowo mglista?
Sto lat?... A może więcej?... Może dwieście... trzysta...
Czas nie gra tutaj roli, bo czasu wymiary
Mieszają życie z bajką, a z rozumem czary;
I znów zjawi się śmiałek, co pójdzie się trudzić
Przez twych snów amfiladę, żeby cię obudzić.*

*Przebije się przez gąszczów mroki tajemnicze.
Zacznie za okiennicą zrywać okiennicę,
I czyniąc wszystkie gusta, poznane w ukryciu,
Obudzi cię z omdlenia, jak w bajce, jak w życiu.
Z góry można przewidzieć, że w tejże godzinie,
W której zbudzi cię, miła — sam od ciebie zglinie.*

*Czar jest treścią tej pieśni. Lepiej strzec się czarów,
Które snom dnia nadają realność koszmarów,
Lepiej nie kusić magii, rozumów nie łudzić,
I uspiętej w objęciach gwiazd greckich nie budzić.
Kamień tobie pod głowę, ciernie twoim stopom,
Śpij cicho, nieszczęśliwa, piękna Europo.*

Stanisław Baliński

NA POGORZELISKU WARSZAWY

(Miesięczny przegląd wydarzeń)

Gromy biją w wierchy

30 IX 1944 r. Prezydent R. P. zwolnił gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego ze stanowiska Naczelnego Wodza. Prezydent R. P. sam w rozkazie do polskich sił zbrojnych nazwał tę chwilę ciężką i tym cięższą, że odszedł „znakomity żołnierz, o wielkich zasługach bojowych, ogromnej wiedzy i doświadczeniu, jeden z najstarszych bojowników niepodległości...”

W atakach na Kazimierza Sosnkowskiego przed Jego odejściem zjednoczyły się zgodnie: obca wroga nam interwencja (porównaj wypowiedzi radia Moskwa), gra czynników międzynarodowych, z natury rzeczy dbających o interesy własne, a nie polskie (wmyśl się w interwencję Edena), nasza własna zdrada (słuchaj radiostacji zdrajców z Lublina), i niestety nasza rodzima słabość (przeczytaj rozkaz Naczelnego Wodza z 27 IX piętnujący fałszerstwo jego rozkazu nr. 19 dokonane w komunikacie urzędowej P.A.T.).

Odchodzący Naczelny Wódz w ostatnim swym rozkazie wydanym w chwili „która szarpie nam dusze i niepokoi serca”, kazał nam szukać siły w pewności, że pełniemy „służbę dla Polski, że nie ma takiej mocy, któraby mogła Was zmusić do zapomnienia tej wielkiej prawdy”.

„Niechże wasz trud bojowy mnoży nadal wartości, które muszą wreszcie przynieść Ojczyźnie pełną sprawiedliwość”.

Zegnając się ze sztabem, wyraził Kazimierz Sosnkowski żal, że nie danym mu było dokończyć dzieła, które rozpoczął, że nie danym mu było „doczekać się dnia połączenia całości Sił Zbrojnych na froncie bojowym”.

Wzwał do wydajnej pracy i lojalności

dla nowego Naczelnego Wodza i tych „którzy dźwigają przejściową odpowiedzialność za istnienie instytucji Naczelnego Wodza, za jej ciągłość i funkcjonowanie”, słowami tymi wyrażając jednocześnie swą troskę najgłębszą o los samej instytucji Naczelnego Wodza która jest równie polska, jak wrogi Polsce są na nią ataki.

Prezydent R. P. mianował Wodzem Naczelny Bohaterskiego dowódcę Armii Krajowej gen. dyw. Bór-Komorowski. Lecz już w kilka dni przyszła wiadomość o dostaniu się nowego Naczelnego Wodza wraz z ostatnimi oddziałami obrony Warszawy do niewoli niemieckiej.

Ale znacznie wcześniej, bo nieomal w sam dzień nominacji nowego Naczelnego

Wodza rozpoczęły się nań takie same ataki jak na Kazimierza Sosnkowskiego. Tak jak poprzednio stróża niedodległości okrzyczano „faszystą”, tak teraz z kolei bohaterskiego obrońcę Warszawy próbowano przed światem przedstawić jako zdrajcę i teńrza. Wódz lubelskiej Targowicy zapowiedział: „jeżeli Bór dostanie się w ręce Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, będzie osądzony i ukarany”. Ten sam Osóbka-Morawski oświadczył, że „sytuacja zmieniła się nawet na gorsze”. Jedyнным odpowiednim kandydatem na stanowisko Naczelnego Wodza okazał się, jak to już poprzednio w Moskwie p. Mikołajczykowi oświadcza li przedstawiciele lubelskiego komitetu, przez polskie sądy za kryminalne przestępstwa skazany — Rola Zymierski.

Już nie tylko dla każdego Polaka, ale i dla każdego cudzoziemca, chcącego widzieć, stało się rzeczą oczywistą, że wrogim Polsce czynnikom w atakach na Kazimierza Sosnkowskiego nie o jego osobę chodziło, podobnie jak w atakach na Tadeusza Komorowskiego nie o niego chodzi. Ataki te są zdradziecko wymierzone w najczulszy punkt polskiej niepodległości — po przez osobę naczelnego wodza w instytucję Naczelnego Wodza, a po przez instytucję — w siły zbrojne państwa polskiego. Każdy Naczelny Wódz będzie przez Rosję zwalczany.

Plan wrogów Polski jest jasny i prosty: Odsunąć w pierw najbardziej nieugiętych i doświadczonych dowódców, którzy wojska polskiego do boju za obce interesy nie poprowadzą. Następnie sparaliżować funkcjonowanie instytucji Naczelnego Wodza, polskie siły zbrojne zamienić w chodzące luzem oddziały.



Żołnierz Armii Krajowej.
Broń zdobył na jeńcu niemieckim

Toteż z ufnością ale i z troską najwyższą nie o swój los, a o niepodległość Ojczyzny i honor jej wojskowych sztandarów, patrzają w tej chwili żołnierskie szeregi na Prezydenta R. P., w którego rękę spoczywają decyzje, jak i na tych, którzy z tytułu zajmowanych stanowisk ponoszą w tej chwili przed historią Polski odpowiedzialność najwyższą.

Warszawa padła

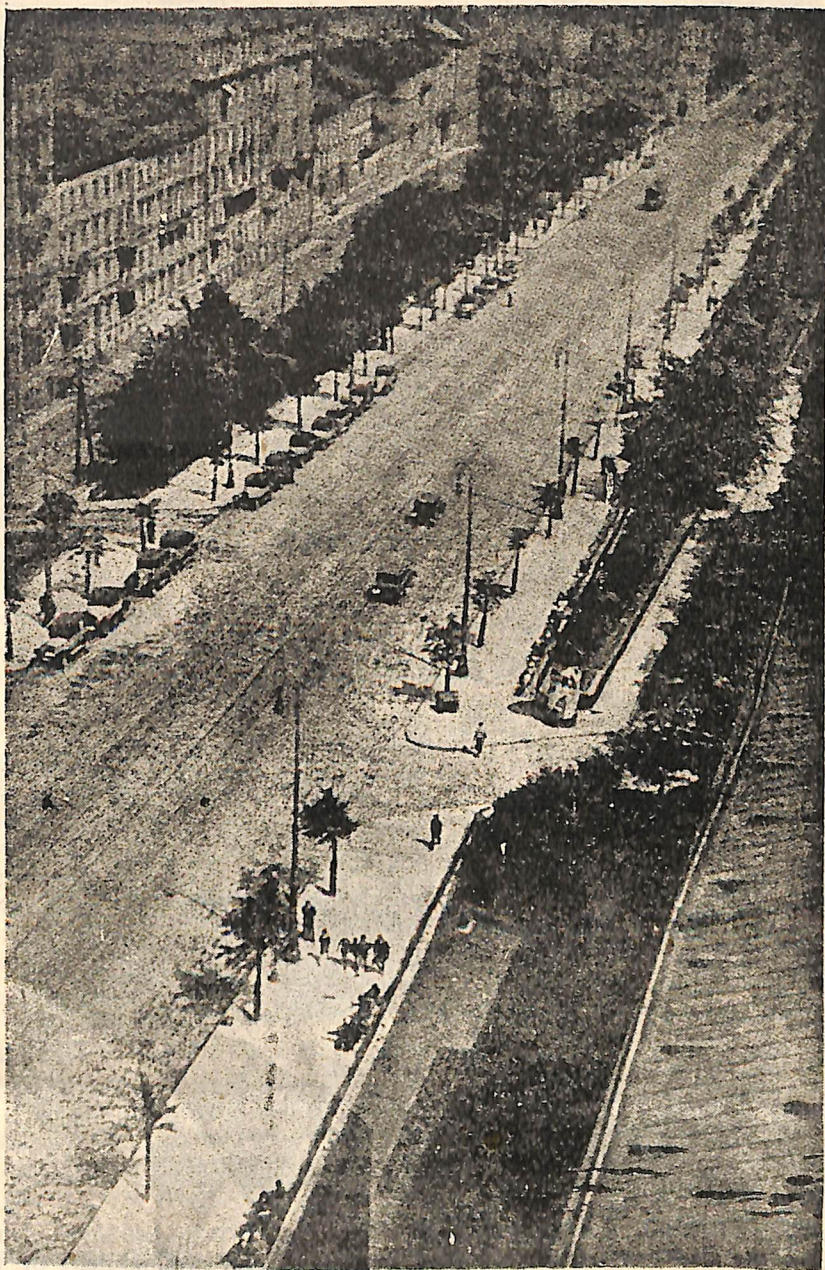
Po 68 dniach samotnej walki w najcięższych warunkach, po wyczerpaniu amunicji, środków żywności, po oficjalnym sowieckim oświadczeniu, że Warszawa może być zdobyta tylko w wyniku dalekiego okrążającego manewru; po bezskutecznych wołaniach o efektywną pomoc, padła poraz drugi w tej wojnie stolica Polski pod niemiecką przemocą. 27 IX padł Mokotów, 30 IX padł Żoliborz, oddziały Armii Krajowej skupiły się w śródmieściu, gdzie do końca wraz z żołnierzami przetrwało 260.000 ludności cywilnej.

W pierwszych dniach sierpnia Rosjanie byli o 20 kilometrów od stolicy, przez 8 dni Niemcy nie mogli pozbierać swych sił, lecz pomoc sowiecka nie przyszła. Polski komitet wyzwolenia narodowego nieomal zaprzeczał istnieniu powstania.

Od 11 sierpnia miasto bez światła i wody. Elektrownia i wodociągi rozbite. Niemcy rzucają na Warszawę coraz to nowe oddziały pancerne, saperzy niemieccy wysadzają w wielu dzielnicach dom po domu. Niemieckie lotnictwo bezkarnie bombarduje z wysokości dachów stolicę, a artyleria niszczy dzielnicę za dzielnicą.

W świat idą nieustanne wołania o pomoc. Dwoma nawrotami — około 15/VIII i 10/IX — przynoszą pomoc, jakże niewystarczającą, samoloty z Włoch. 150 polskich lotników, startujących z Włoch, ginie. Ginie wraz z nimi wielu lotników brytyjskich południowoafrykańskich. Z Anglii startują samoloty, znowu jakże często pilotowane przez Polaków. Dywizjon 301 ponosi straty równe 100 % jego stanu. Lecz żaden samolot nie może lądować na pobliskich lotniskach czerwonej armii. Z.S.R.R. nietylko pomocy nie udziela, ale nawet na korzystanie z lotnisk nie chce zezwolić. Gdy opinia świata zostaje poruszona do żywego, wreszcie Moskwa zgadza się na lądowanie samolotów amerykańskich na jej lotniskach. 18/IX wyrusza jedyny raz potężna armada latających fortec. Warszawa raz jeden dostaje większą pomoc. Premier Mikołajczyk ogłasza światu, że ludzie skakali z radości, widząc wreszcie nadchodzącą poważną pomoc. Lecz jest już zapóźno.

Samoloty sowieckie pojawiają się na kilka dni nad miastem i znowu nikną, zostawiając stolicę na pastwę niemieckich bombardowców. Wojska sowieckie zdobywają Pragę, lecz nie przeprowadzają się na drugi brzeg Wisły, a wnet przychodzą wieści o losie Polaków na Pradze. Przychodzą wieści takie, że w dalekim Lon-



Warszawa
Aleja 3 Maja

dynie poseł kpt. Alan Graham pyta w Izbie Gmin: „Co świat pomyśli o Rosji, jeżeli po wkroczeniu wojsk rosyjskich do Warszawy tacy bohaterowie i obrońcy miasta zostali umieszczeni w obozach koncentracyjnych lub deportowani do Kaługi, czy na Sybir?”.

Poszły w świat ostatnie apele walczącej Warszawy mówiące światu — przywilejem człowieka przed zgonem — całą brutalną prawdę o samotnej walce milionowego miasta.

3.X. po wyczerpaniu wszystkich możliwości obrony, następuje kapitulacja Warszawy. Nawet wróg uchylił czoła przed dumną stolicą. Wróg w dobre zrozumianym dla siebie interesie uznał obrońców Warszawy za stronę wojującą, przyrzekł traktować ich jak jeńców wojennych. Do końca tylko Z.S.R.R. nie przyznał żołnierzom Warszawy praw strony walczącej, do końca tylko Komitet wyzwolenia narodowego żołnierzom Armii Krajowej, a przede wszystkim dowódców, nie przestał uznawać za przestępców. Niemiecki komunikat mówił o obronie Warszawy: „Wojska gen. Bora wspierane fanatycznym patriotyzmem ludności, walczyły z takim zapalem i z taką pogardą niebezpieczeństwa, że wzbudzały osłupienie i podziw

nawet w szeregach nieprzyjaciela”.

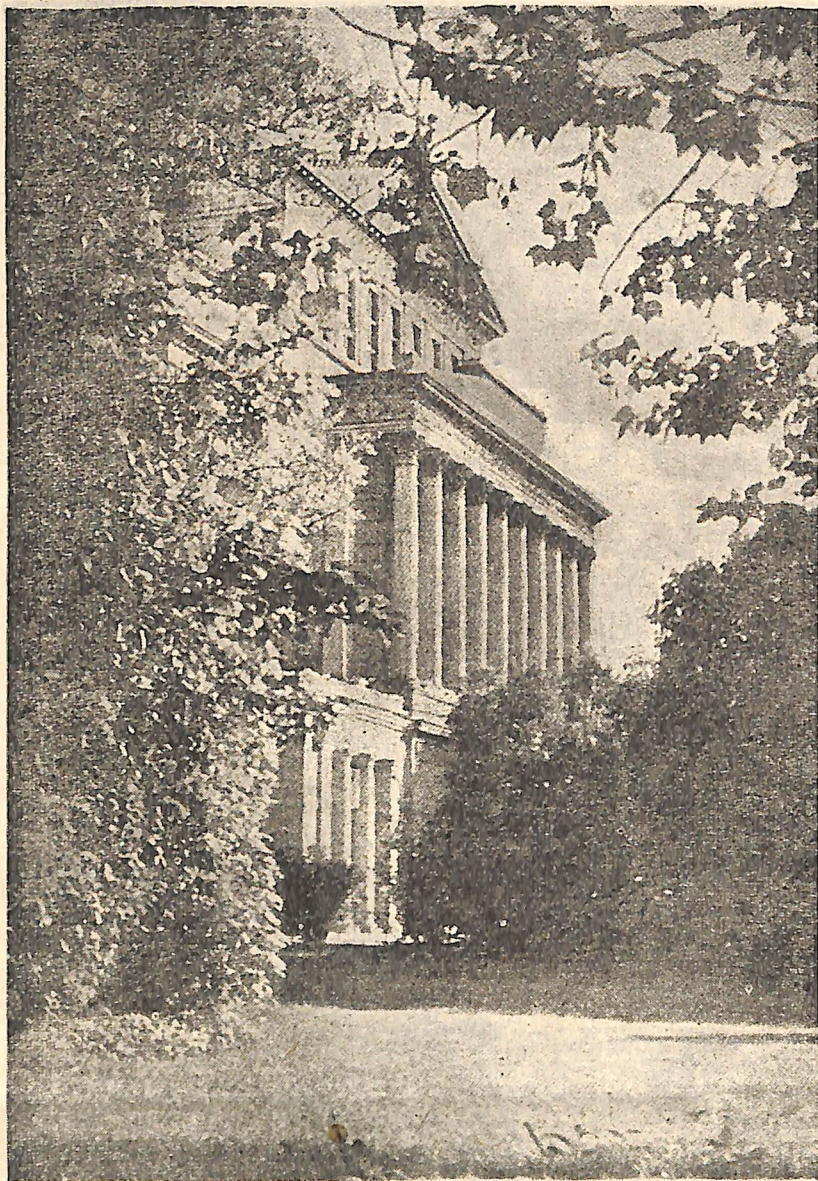
Zestawmy chociażby najbardziej rzucające się w oczy rezultaty epopei Warszawy:

1.) Warszawa udowodniła światu, że nie istnieje cena, której by naród polski nie był gotów zapłacić za swą niepodległość.

2.) Warszawa wykazała, że istnieje potężna Armia Krajowa, że nie mają natomiast żadnego wpływu w narodzie polskim czynniki kryjące się pod moskiewskim płaszczykiem Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

3.) Warszawa wywołała poruszenie opinii świata, której liczne koła, a zwłaszcza katolickie i prawdziwie demokratyczne stanęły żywo w obronie praw Polski. Patrząc na Warszawę „L'Osservatore Romano” pisał: „Zadnego bowiem boju w tej wojnie... nie można porównać ze zmaganiem polskiej stolicy”, a w Izbie Gmin, padło pytanie: „któż bardziej niż obrońcy Warszawy zasłużył, by sam miał o własnym stanowić losie?”

4.) Bohaterstwo Warszawy nie zmieniło jednak stanowiska polityków za losy wojny i pokoju w tej chwili odpowiedzial-



Warszawa
Teatr Wielki

nych. Churchill złożył Warszawie hołd głęboki, lecz powtórzył raz jeszcze swoje tezy rozwiązania sporu polsko-sowieckiego, stawiając jako jeden z pierwszych warunków rezygnację z naszych ziem wschodnich.

Na polskiej ziemi

Tymczasem na ziemi polskiej trwa okupacja dążąca do eksterminacji narodu polskiego, a przynajmniej jego najbardziej świadomej warstwy i to po obu stronach linii frontu.

Warszawa nie istnieje. Wg. doniesień prasy włoskiej 800,000 rzesza ludności Warszawy tuła się, przierzucana z miejsca na miejsce przez władze niemieckie. Terror niemiecki szaleje po dawnemu. Liczne akty samoobrony organizowane przez oddziały armii krajowej — ostatnio szczególnie w Kieleckim — są tego dowodem. Trwająca walka armii podziemnej z niemieckim okupantem jest równocześnie dowodem tej samej woli walki, którą potwierdzały słowa ostatniego rozkazu gen. Bora przed kapitulacją: „Kapitulacja stolicy nie świadczy, że zaprzestaliśmy walki z Niemcami. Polska... w walce tej nie ustanie”.

Równocześnie na ziemiach wschodnich trwa biologiczne tepienie narodu polskiego, którego najważniejsze etapy można podsumować: 1) pobór milionowej armii dysponowanej przez Moskwę, 2) przesiedlenia ludności zmierzające do

całkowitego usunięcia elementu polskiego z ziem wschodnich, 3) wprzęgnięcie w sowiecką machinę wojenną całej ludności polskiej (mobilizacja do robót wojskowych, tepienie wrogów ludu itd.).

Wszystko to jest przysłaniane patriotyczną frazeologią „patriotów” występujących się Moskwie nie gorzej od targowiczian Katarzyny Wielkiej. Jakiż wspaniały jednak jest duch narodu, który nawet w warunkach sowieckiej okupacji, nie mogąc oczywiście stosować tych metod walki, które w sowieckim systemie są niemożliwe, zdobywa się na taki opór, że raz po raz radio lubelskie narzekać musi na opór różnych „sanacyjnych” elementów, pozwalających sobie nawet na sabotaż, na sowiecki sposób przeprowadzanej, reformy rolnej.

Można to nazywać elementami „sanacyjnymi” — ale my wiemy, o co tu idzie opór.

Przed szóstą zimą wojny

Na frontach w ubiegłym miesiącu, chociaż nie było tak gwałtownych przesunięć linii frontów, toczyły się boje bardzo ciężkie.

Terenem najcięższych zmagania były podobnie jak w miesiącu poprzednim, odcinki frontu zachodniego i południowego. Niemcom udało się przez rzucenie znacznych sił na front zachodni, powstrzymać czasowo ofensywę anglosaską.

Zwycięskie wojska anglosaskie z kolei napotkały na naturalne przeszkody wynikające z braku bliskich możliwych do natychmiastowego wykorzystania w zapatrywaniu 2 do 3 milionowej armii portów, z wydłużenia się linii komunikacyjnych po opanowaniu niemal całej już Francji i Belgii. Nie ustają one jednak w nacisku na wewnętrzną fortecę, coraz bardziej niemiecką niż europejską.

2 armia brytyjska wspólnie z 1 armią desantową (spadochronową) operowały na terenie Holandii, gdzie manewrem skierowanym ku brzegom Zuider Zee zamierzały odciąć 100.000 armię niemiecką w północnej Holandii i w jednej operacji opanować cały ten kraj. Desant powietrzny na największą w tej wojnie skalę w trójkącie Maastricht - Tilburg - Nijmegen był warunkiem wstępnym tej operacji. W tej ryzykownej i ważnej operacji znowu w najtrudniejszym miejscu obok oddziałów brytyjskich znalazły się oddziały polskiej brygady spadochronowej. Oddziały polskie 22 IX zostały rzucone na pomoc walczącym tam spadochroniarzom brytyjskim. Na skutek bardzo silnego nacisku niemieckiego oddziały spadochronowe musiały wycofać się z północnego brzegu prawej odnogi Renu-Lek. Z 7000 rzuconych do boju żołnierzy pierwszej spadochronowej dywizji brytyjskiej zdołano wycofać tylko 2000. Niemniej utrzymano wyciągnięty wzdłuż granicy niemiecko-holenderskiej pas opanowanego terenu, skąd każdej chwili można rozpocząć nowe dla Niemców bardzo niebezpieczne uderzenie. Ostatnio walki na kierunku Arnhem znowu znacznie się ożywiły.

Armia kanadyjska, w składzie której walczy polska dywizja pancerna Maczka, prowadzi nadal z dużym powodzeniem operacje w rejonie Antwerpii. W walkach o ten ogromny port oddziały polskie zapisały swą kartę.

Główne uderzenie armii amerykańskiej trwa stale w wyłomie uczynionym w linii Zygryda i kieruje się na historyczny Akwizgran, broniący przez Niemców fanatycznie, ale skazany, zdaje się nieodwołalnie, na obrócenie w perzynę.

Sytuacja przypomina okres przed przełamaniami tzw. wału atlantyckiego, kiedy to w tygodniach najcięższych bitew obie strony nie szczędziły ni sprzętu ni rezerw. Jak wiadomo, po przełamaniu fortyfikacji w pasie nadbrzeżnym, opór niemiecki trząsł, a zajęcie całej Francji poszło nieporównanie łatwiej. Co będzie, gdy wojska amerykańskie przełamią li-



Mapka terenu walk w Holandii

nie Zygryda, lub, gdy wojska brytyjskie rozwiną holenderski swój manewr? Trudno powiedzieć. Tym razem wojska niemieckie biją się już na niemieckiej ziemi. Himmler zapowiada partyzantkę. Hitler jest od długiego czasu pierwszym wodzem niemieckim, który nie kapituluje, choć wojna na teren Rzeszy się przeniosła.

Niemcy, ponosząc ogromne straty w materiale i w ludziach, starają się za wszelką cenę przedłużyć wojnę na jeszcze jedną zimę, licząc zapewne i na to, że w tym czasie przeciwieństwa wśród mocarstw sprzymierzonych wynikające z udziału Z.S.R.R. w koalicji dojrzeją na tyle, że Rzeszy uda się wytargować jakieś warunki kompromisowego pokoju.

Churchill w swym przeglądzie sytuacji wojennej bitwę o Normandii nazwał „największą i najbardziej decydującą bitwą w całej wojnie”.

I w dalszym ciągu militarna klęska Niemiec grozi im przede wszystkim z zachodu, gdzie armie anglosaskie stoją u wrót zagłębia Ruhry i przemysłowego serca Niemiec.

Na froncie włoskim jesień przyniosła ze sobą tak ciężkie warunki atmosferyczne, że odbiły się one w trudnym górskim, podgórskim i bagnistym terenie bardzo znacznie na przebiegu operacji. Mimo to zarówno 5 armia przede wszystkim na przedpolu Bolonii, jak i 8-a nie ustają w działaniach ofenzywnych.

Na ziemi greckiej lądowały znaczniejsze siły brytyjskie. Peloponez jest praktycznie wyzwolony, a ewentualnie pozostałe garnizony niemieckie odcięte. Niemcy opuścili stolicę Grecji — Ateny.

Na wschodzie natomiast walka toczy się ciągle głównie na terenach stosunkowo odległych od żywotnych centrów Rzeszy. Wojska sowieckie na ziemi polskiej stoją na linii Wisły, to znaczy wzdłuż linii przewidzianej pierwotnie w r. 1939 jako granica pomiędzy zaborami niemieckim i rosyjskim. Armie czerwone odniosły natomiast szereg sukcesów na obu skrzydłach frontu wschodniego. Na północy padła Ryga. Uprzednio Niemcy ewakuowali Estonię. Na południu Rosjanie kontynuują swój marsz na Bałkanach. Najbardziej zagrożone są Węgry. Po zdobyciu Cluj i Debreczyny powstał worek, w którym mogą się znaleźć w potrzasku armie niemiecko-węgierskie broniące reszty Transylwanii, Rusi Zakarpackiej i północno-zachodnich Węgier. Bezpośrednio zagrożony został Budapeszt.

Armie sowieckie stanęły u wrót stolicy Jugosławii, gdzie w współpracują z nimi oddziały powstańcze Tito.

Marszałek Tołbukin nie idzie natomiast, jak narazie, na wybrzeże morza Egejskiego. Po zwasalizowaniu przez Moskwę Bułgarii pojawiły się wprawdzie projekty utworzenia macedońskiego państwa, podkomendne Tołbukinowi wojska bułgarskie miały więcej niż tendencję do pozostania w Tracji i oddzielania Grecji od Turcji. Wydawało się, że już w tym momencie ziszcza się sen carów o cieśninach dardaneelskich, że armia czerwona usadowi się w Salonikach. Kroki wstępne przygotowano przez układy pomiędzy greckimi „patriotami” z



Ulica Warszawy 3 września 1939 r. w dniu wypowiedzenia Niemcom wojny przez Anglię
Dnia 3 września 1944 r. ulica ta już nie istniała

komunistycznej organizacji ENSA, a „bułgarskim Lublinem”.

Tym razem jednak Wielka Brytania okazała się znacznie bardziej stanowcza. Do rozbioru Grecji nie doszło. Wojska bułgarskie muszą wycofać się zarówno z Grecji, jak i z Jugosławii.

Jeszcze raz do Moskwy

To „ustępstwo” sowieckie na Bałkanach na rzecz Anglii jest klasycznym przykładem stosowanej od wieków szczególnie na ciele Polski metody polityki rosyjskiej. Stawia się jak najbardziej wygórowane żądania, by potem wspaniałomyślnie ustępować, lub z drugim partnerem mieć się czym, cudzym kosztem podzielić.

Premier Churchill po swym przemówieniu, w którym uskarżał się na kłopoty, „których jest mnóstwo, których jest legion i które spadają na nas zwartym szykiem, po rzuceniu hasła „skrócenia wojny” prawie że za wszelką cenę, choć tego tak oczywiście nie sformułował — wyjechał do Moskwy, zabrawszy ze sobą Edena i szefa sztabu imperialnego Brooka.

Do Moskwy zaproszono p. Mikołajczyka, który wyjechał w towarzystwie ministrów. Do Moskwy przybył też Osóbka-Morawski i Rola Żymierski, a nawet sam Bierut, znacznie większymi niż polski premier, podejmowani honorami.

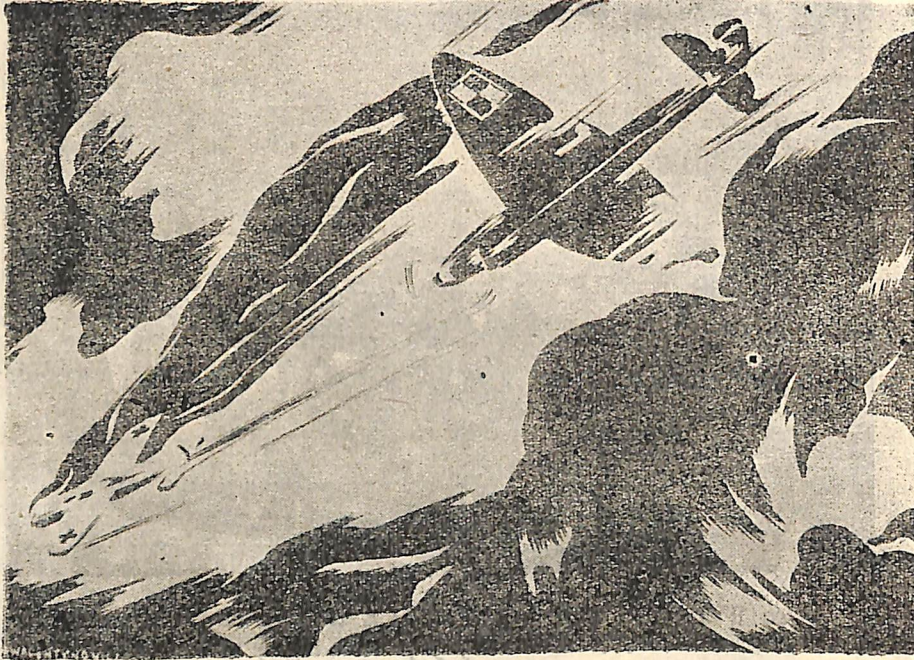
Pierwsze wiadomości nadchodzące z Moskwy brzmią wysoce niepokojąco. Od yło „memorandum”, depesze donoszą, że obie strony tzn. prawowity polski rząd i lubelsey „patrioci” zgodziły się rozpocząć rokowania na temat utworzenia wspólnego rządu.

Po nowym bezprzykładnym żołnierskim czynie Warszawy — głos mają politycy. P. Mikołajczyk zapewniał nas przed niewielu dniami: „Przysiegamy na pamięć tych, co polegli i na krew przelaną, że tego kapitału, który oni (obrońcy Warszawy) zaskarbili, pokazując światu, że dla Polaka niema ceny, której by za prawdziwą wolność i niepodległość nie zapłacił, nie zmarnujemy i nie pozwolimy ani umniejszyć, ani uszczuplić”.

Naród polski znalazł się może w najtrudniejszym momencie swej historii.



Kobieta-żołnierz Armii Krajowej



W takich momentach nie tylko na politykach ciąży odpowiedzialność. Godnym chwili i próby dziejowej musi się okazać naród, a szczególnie każdy żołnierz. Kraj w najtrudniejszych warunkach swą wolę niepodległości wykazał. Historia przypomina, że nawet po groźniejszym niemym sejmie walka narodu o wolność nie ustała, a przeciwne kościuszkowskim powstaniem carom naród odpowiedział: Były i następne zrywy Narodu Polskiego, aż wreszcie przyszedł rok 1918, rok wyzwolenia.

Na wyniki konferencji moskiewskiej, której sprawa polska stała się, jak zapewniają nas doniesienia codziennych pism, sprawą centralną, czeka żołnierz polski, nadzieję ostateczną pokładając w Bogu, uzbrojony w doświadczenia historii swego narodu, przykład Kraju mając przed oczyma, ufny w swoich dowódców nienarzuconych wolą ani Berlina, ani Moskwy.

Jarosław Zaba

„Polskę, być może, czekają ciężkie przeżycia. Podczas kryzysów — powtarzam — strzeżcie się agentur. Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych co służą obcym“.

Józef Piłsudski („Pisma“)

Zwykłe matczysko

Matka Grakchów? Rzymska matrona?
„Propagandowe“ nazwisko?
Nie, to tylko dobroć wcielona,
Zwykłe matczysko.

Wielkość mało dla niej stanowi
Do szczęścia jej nie wystarczy.
Nie ona to rzekła synowi
„Z tarczą albo na tarczy“.

Mocna nie jest. Wzdycha i płacze
Nad poniżeniem jednostki,
Nad dzieckiem swoim tułaczym,
Nad zagadką wyroków boskich.

Lecz za każdą jej tzę spada pocisk!
Za westchnienie — dymi rumowisko!

I cóż na to anioł dobroci?
Płacze dalej i oto wszystko.

Lecą światem rikoszetów echa,
Płoną gniewy i odwety męskie —
Któżby z panów zemsty poniechał,
Zemsty z Bogiem lub przeciw Bogu?

Wiktorie stają u progu —
A tu tylko matczysko tęskne.

Władcy wojny prowadzą. Stać ich
Na ofiary ku przyszłym chwatom!
Ale matka za to wszystko zapłaci,
Jeśli syn jej nie powróci cało...

Maria Pawlikowska



WARSZAWIANKI

„Piękne były warszawskie panie”
mówi Hemar w wierszu o Warszawie:
„Jakie stroje, jakie malowanie, jak
umiały się w tych sukniach nosić, wzro-
kiem wzbraniać a ustami prosić”.

Warszawskie panie były bardzo piękne. Pamiętamy je z dni, kiedy chodziły po Warszawie nosząc się po królewsku, tak jak pisze poeta. Warszawskie panie konkurowały szykiem i elegancją z Paryżankami. Warszawskie panie!

Dziś w nocy (czwarty październik, tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku), wszystkie radiostacje świata, podały wiadomość o kapitulacji Warszawy. Po sześćdziesięciu trzech dniach bezprzykładnie krwawych i ciężkich walk, Warszawa uległa tysiąckroć silniejszemu wrogowi. Powstanie warszawskie, przejdzie do historii świata jako symbol polskiej, najkrwawszej wśród krwawych i najwspanialszej wśród wspaniałych-niezlomności. W sześćdziesięcioletnim powstaniu walczyli nie tylko warszawscy mężczyźni. Obok nich walczyły kobiety i dzieci. Pisze poeta żołnierz warszawskiego powstania: „A obok swoich chłopców waleczą tu dziewczęta”. Dziewczęta warszawskie poginęły razem ze swoimi chłopcami, walcząc o Polskę i świat.

Jeśli Francuzi mają swoją Joannę D'Arc, jeśli Włosi dumnie zadzierają głowy przechodząc obok pomnika Anity Garibaldi, to my Polacy nie możemy streścić się do jednego czy kilku kobiecych imion, bo nasze kobiety umierały za polską wolność masowo i od lat.

Pamiętam Warszawę z dni styczniowych i lutowych tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Kobiety warszawskie rozpoczynały wtedy swoją walkę z zaborcą. Trzeba było widzieć te twarze

wspaniale, te nogi napół bosc i oczy pełne płomieni nie z tego świata. Warszawianki poszły w tych dniach do tajnych drukarni i fabryk broni. Warszawianki poszły w tych pełnych mrozu i salw egzekucyjnych dniach, do wieloletniej walki za „wolność naszą i waszą”.

Historia winna zapisać czerwonymi kolorem krwi zgłoskami, z górą pięcioletnią walkę warszawskich kobiet w tej wojnie. Nie znane są jeszcze dokładne dane cyfrowe dotyczące rozmiarów masakry polskich kobiet w warszawskim powstaniu. Ale z codziennych komunikatów, ze wszystkiego co wiemy o warszawskiej walce, można cyfry te wypośredkować. Są one wielkie i straszne. Są one straszniejsze niż fakt, że w dniach, kiedy na barykadach umierały ostatnie warszawskie obrończynie, u wrót skrawawionego miasta stała olbrzymia armia sowiecka. Stała i nie niosła pomocy najbardziej bohaterskiemu wśród bohaterskich miast świata.

Nie znamy w tysiącletniej historii wszystkich narodów świata wypadku, gdzieby kobiety walczyły wspanialej w obronie wolności swojego narodu, niż uczyniły to Polki, żołnierze warszawskiego powstania.

Warszawskie panie! W dniach września trzydziestego dziewiątego roku, Warszawianki, jak gdzie indziej pisze poeta: „Strącały czubkami pantofeleków bomby zapalające z dachów”. Wtedy warszawskie młode i piękne panie, wierzyły, że za cenę życia uratują swoje domy, rodziny i wolność. Dziś, te panie w większości wyginęły. Poumieraly w obozach koncentracyjnych, pomarnowały się w więzieniach, poginęły z głodu, poginęły na ulicach w dniach świętego warszawskiego powstania. Na skwerach spalonej i zrównanej z ziemią Warszawy, obok grobów mężczyzn, widnieją groby warszawskich pań.

Tłumaczają nam różni na świecie: „Dla czego jesteście tacy uparci i targujecie się o każdy kawałek ziemi? Ustapcie. Wtedy mniej popłynie waszej krwi”. Odeslijmy namawiających — do tych grobów na warszawskich skwerach. Niech popatrzą — na „piękne warszawskie panie”. Może wtedy zrozumieją: dlaczego.

Pytają nas różni: „Dlaczego Warszawa powstała przedwcześnie? Przecież wiedziała, że nie da sobie rady sama”. Odpowiedzmy im: „Warszawa wierzyła w świat i prawość człowieka. Warszawa powstała, bo już dłużej nie mogła wytrzymać. Warszawa walczyła całe pięć lat, a powstanie miało być szczytowym wysiłkiem tej walki. Ale Warszawa zawiodła się na człowieku świata i jego duchu”. I jeszcze takim różnym sytym i „spokojnym” możemy powiedzieć: „Popatrzcie! Na tych skwerach, na odłogach obozów koncentracyjnych, na świętej warszawskiej i polskiej ziemi, leżą obok mężczyzn, zabite kobiety. One inaczej rozumiały wolność niż wy. Mówcie być na nie zagniewani”.

Piękne i święte warszawskie Panie! Jesteśmy z Wami całym sercem i całym życiem. Jesteście dla nas najwspanialszymi w Narodzie. Modlitwy nasze i życia nasze są z Wami i dla Was.

Jerzy Bazarowski



Motyw wojenny

*Płakała matka,
smutniała jesień,
aż do ostatka
spochmurniał wrzesień...*

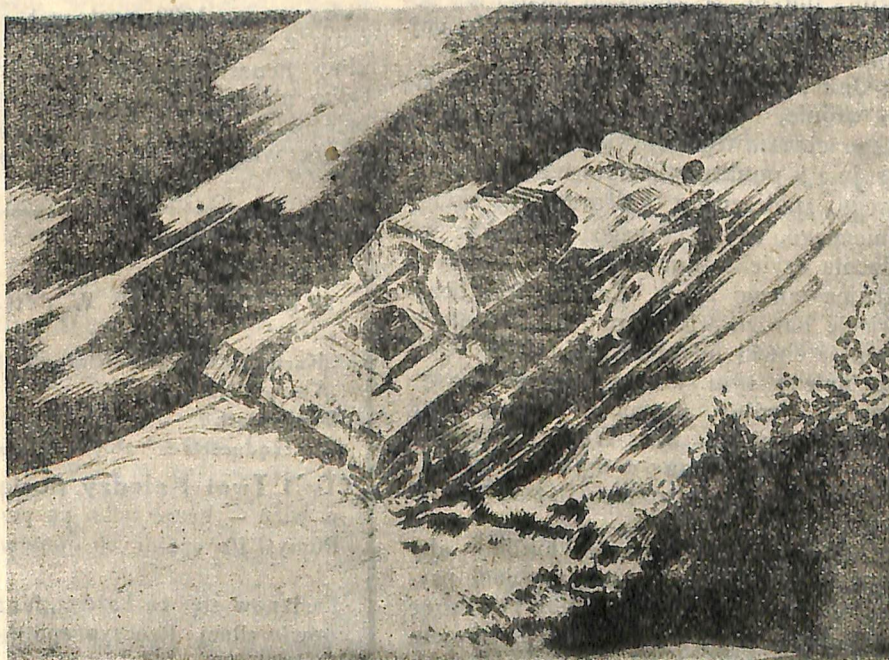
*W cichym listowiu
krew brunatniała.
Ciemniała w nowiu,
aż spopieliała.*

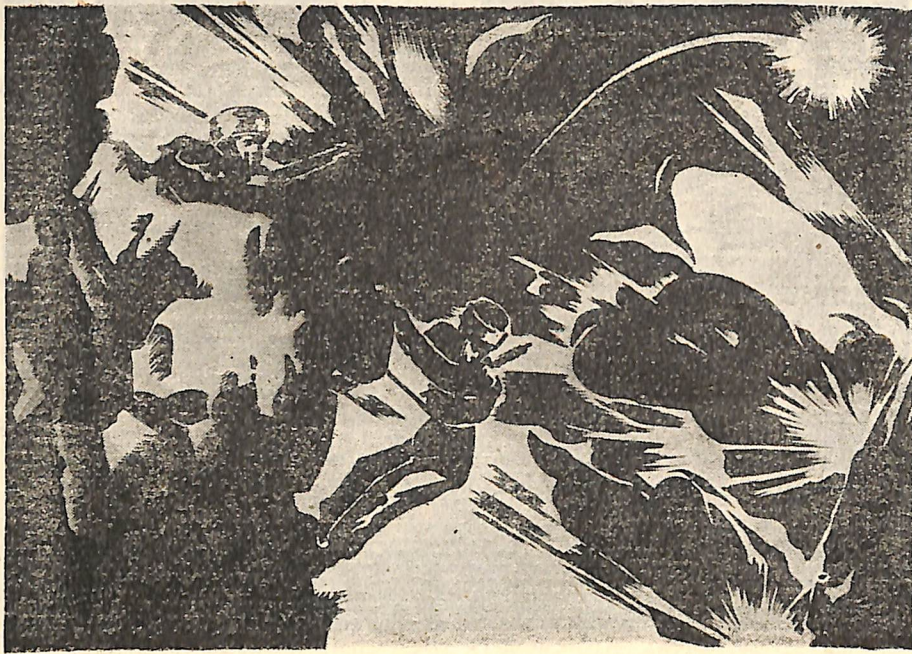
*Chlusnęła potem
w piaszczystej bieli.
Nie wystarczała
już polska zieleń...*

*A w domu żyli,
w domu czekali —
(wiatr grał w badyłach
zapamiętałe).*

*Nie wócił przecie,
— nie przyjdzie jutro;
Tłukł się po świecie
i w drodze utknął.*

Józef Żywina





Treść wojny

Kiedy parę tygodni temu jeden z żołnierzy w kantynie, biorąc swoją filiżankę kawy, powiedział zupełnie bez związku: — „Niech pani pomyśli, dziś jest piąta rocznica wybuchu wojny” — odpowiedziałam z roztargnieniem: — „Ach tak, rzeczywiście”. — I dalej, nie myśląc o tym, nalewałam kawę, nakładałam ciastka i kanapki, rozmawiałam, uśmiechałam się.

Dopiero w kilka godzin później, kiedy już wychodziłam z pustej, ciemnej kantyny, poczułam jakiś drażniący niepokój. Przystanąłam na schodach przy oknie. Była spokojna, srebrzysta, księżycowa noc, aż nazbyt czysta, aż nazbyt jasna. I nagle pomyślałam: — „Tak, pięć lat wojny”. Nie wiem, czy to wróciły echem tamte słowa żołnierza, czy taka była reakcja moja na spokój księżycowej, włoskiej nocy. Powoli szłam po schodach na górę i beładnie myślałam, że pięć lat temu byłam zupełnie kimś innym, że zrobiłam niebywałą podróż w przestrzeni, czasie, myślach, pojmowaniu, widzeniu.

Jakże często, prawie ciągle mówi się o wojnie, dotykając coraz innej strony tego straszliwego zjawiska. Mówi się o wojnie z punktu widzenia narodowościowego, społecznego, kulturalnego, ekonomicznego, czy etycznego; z punktu widzenia czyichś tam interesów i własnego zrujnowanego życia. Sprawa jest oczywiście bardzo wielostronna, ale mnie w tamtej chwili uderzyło coś innego. Oto, że należy tym wszystkim, co rzeczywistość wojny przynosi jaknajgłębiej, jaknajmocniej — żyć. Wtedy może wojna dać każdemu z osobna, smutne wprawdzie, ale ogromne bogactwo duchowe.

Nie mam wygórowanej ambicji aby wyczerpująco omówić ten problem psychiczny. Wydaje mi się jednak potrzebne poruszenie tej sprawy. Jeżeli bowiem wojna jest faktem nieuniknionym, nie trzeba zamykać oczu na jej rzeczywi-

stość, ale raczej wchłaniać ją w siebie, odczuć ją, zrozumieć, dojrzewać w niej i zmądrzeć. Nie bać się tej mądrości.

Często słyszy się: „Życie moje urwało się wtedy, we wrześniu. Teraz to jest jakiś straszny letarg, z którego się ocknę — w domu”. Wiem, że oburzę czytających, twierdząc, że takie stawianie sprawy jest zakłamywaniem siebie. O ileż lepiej byłoby nie trwać w tym letargu, ale wrócić do domu bogatszym o pięć lat niecodziennych, świadomych doświadczeń.

Wojna, z całą grozą i tragizmem — daje bardziej skoncentrowany, nasilony i przyspieszony obraz życia, niż życie w czasie pokoju. Wojna ujawnia człowieka od szczytu do dołów psychicznych. Od bohaterstwa i najwznioślejszej miłości do tchórzostwa, egoizmu, kalkulacji. Od uduchowienia do zezwierzecenia.

Za sprawą wojny zrozumiałam w ciągu tych pięciu lat, że tamten horyzont, który w r. 1939 rozciągał się przede mną, z mojego spokojnego domu przy ulicy Senatorskiej we Lwowie — był tylko niewielkim wycinkiem. Brutalnie, boleśnie, ale jakże szeroko otworzyła mi wojna widnokrąg życia. Otworzyła w

sensie przestrzeni, patrzenia, pojmowania. Obszerny jest ten horyzont i obszerna skala naszego poznania — od wielkich gier politycznych, zatapiania w błocie egoizmów wszystkich wielkich ideałów ludzkości, od pogwałcenia wszystkich słusznych praw przez pozornie usprawiedliwiające prawo siły — aż do coraz wyraźniejszego, coraz bardziej słyszalnego leitmotywu bohaterstwa, do pojęcia honoru, który każe bić się aż do końca i przegrywać najwyższą stawkę życia, nie dlatego, że to się opłaca, ale dlatego, że tak trzeba.

W księżycową noc 1-o września 1944 r., kiedy mijał 5-y rok wojny, rozścielając przede mną romantyczny pejzaż, zdobyłam się na ustalenie w sobie przekonania, że przeżyłam — ja i inni — okres życia intensywny, różnorodny i pełny. Bo takie jest życie wojny — od krańcowego dobra do krańcowego zła. Od bolszewickiego więzienia do adriatyckiego frontu — treść wypełniona powolnym poznawaniem i nagłym objawieniem, tęsknotą i rozpaczą, radością spotkań i niespodziewaną wolnością, ciężkim zwątpieniem i upartą wiarą w zwycięstwo. Nie zmarnowane, bogate życie!

Nagromadzenie tych bogactw nie jest bezcelowym ciułaniem skapca. Jest użyteczne. Bo wiem teraz z całą pewnością, że wszystko złe i niskie, wszystko podłe — wbrew pozorom, które nas gnębią i niecierpliwia — przepada bez śladu. Zostaje tylko pamięć wielkich i pięknych zjawisk, bohaterskich czynów, triumfu prawdy.

W tę rocznicową noc dolatywał do mnie krzyk rozpacz, krzyk daremnej walki z daleka, z bardzo daleka. Przyjęło go moje serce, aby zło i krzywdę przetworzyć w piękno heroizmu, w potęgę siły, w niepokonalność życia, które pogardza śmiercią.

Stefania Lomnicka

Artystyczny dodatek ilustracyjny do „OCHOTNICZKI“

Do każdego egzemplarza niniejszego numeru „Ochotniczki“ dołączamy bezpłatny artystyczny dodatek ilustracyjny, na który składają się reprodukcje arcydzieł malarstwa włoskiego: Michała Anioła, Rafaela, Tycjana, Giotta, Lorenzettiego i t. d.

CZY CI WIADOMO,

że Żołnierze A. P. W. dotychczas t. j. do dnia 31-go sierpnia b. r. zaoszczędzili dla Kraju i mają złożone na:

„Kartach Oszczędnościowych“ Biura Oszczędności Żołnierzy A. P. W.	L 584.000.—
„Certyfikatach“	„ 47.000.—
Depozytach	„ 46.000.—
Oszczędnościach rublowych złożonych na terenie Z. S. R. R.	„107.000.—

Ty i Twoi Koledzy posiadają razem L.784.000.—

a więc — licząc tylko po przedwojennym kursie — około 20-tu milionów złotych. Pomyśl ile spalonych domów odbudujesz? Pomyśl ile zrujnowanych warsztatów pracy uruchomisz?

Zastanów się, że każdy „fun“ zaoszczędzony przez ciebie, to cegiełka w odbudowie silnej Rzeczypospolitej Polskiej, takiej, jaką chciałbyś widzieć po twoim powrocie do Kraju.

Drugi rok „Ochotniczki“

Numerem bieżącym zaczynamy drugi rok naszego pisma „Ochotniczka”. Chcąc skreślić dzieje „Ochotniczki” należy się cofnąć jeszcze do Buzuluku, gdzie istniała już „Ochotniczka”, jako gazeta ścienna, ręcznie pisana i ilustrowana. W wielkiej parterowej sali Sztabu pisało się tę „Ochotniczkę” zdobnie na brystolu, a gdy go zabrakło, na zwykłym gazetowym papierze. Ilustratorki, oczywiście ochotniczki-artystki (Mglejowa, Stahlowa, Szneidrowa) dla lepszego światła pracowały na korytarzu pod oknem. Zgrabiały palce nie zawsze nadszły pomysłom, a farba i tusz zamarały pod ręką.

Gazetka zjawiała się jednak co pewien czas na ścianie klatki schodowej Sztabu, miła dla oka, a na przyszłość — dokument. Niestety — atrament, tusz i farby były liche i szybko płowiały. Los ten spotkał zresztą wszystkie gazety ścienne wydawane w ZSRR przez Referaty oświatowe w pułkach i oddziałach naszej Armii. Żywot ściennej „Ochotniczki” był nie długi. Zdobywanie materiałów piśmiennych i farb stawało się z każdym dniem trudniejsze. Na zakup tych materiałów nie przyznano P.S.K. funduszy, a o miejsce w wychodzącym już „Orle Białym” ubiegano się bez skutku. W Sztabie Jangi-Jul już nie zjawiała się piękna gazetka P.S.K., a w Iraku zaginęła o niej pamięć.

Lecz może nie zupełnie. Ciągłe bowiem powracała myśl wydawania własnego pisma, zwłaszcza wobec przemilczenia P.S.K. w pismach wojskowych. Owczem, czasami pojawiały się uszczypliwe felietony o P.S.K. w „cywilnym” dzienniku wychodzącym w Bagdadzie. Tym bardziej jednak trzeba było własnej trybuny, która służyłaby naszym sprawom ideologicznym i wychowawczym, która zadokumentowałaby naszą pracę i ujawniła nawet nam samym, czym jesteśmy i czym być możemy.

W Iraku więc wypracowała koleżanka Jadwiga Baranowska projekt jednolitej, która miała zobrazować całość kształt naszej pracy i poruszyć zagadnienia, związane z naszą służbą wojskową i z naszą postawą obywatelską. Już zanosiło się jednak na wyjazd Armii z Iraku do Palestyny, gdzie, jak słusznie rozumowano, łatwiejsze będą możliwości wydawnicze. Inspektorka Główna P.S.K. skłaniała się też raczej do wydawania pisma, które lepiej sprostałoby zamierzeniom.

Tak przeszło kilka miesięcy — już w Palestynie — pełnych wahań, przeszkód, sceptyzmu. Dopiero decyzja Generała Andersa powołała do życia nasze pismo. Sekcja Wydawnicza pod kierownictwem płk. Tworzydły poszła nam życzliwie na rękę w sprawie dostarczania papieru, uzyskania zgody władz angielskich i t.p. W oparciu o Sekcję przystąpiłyśmy do wydania pierwszego numeru w październiku 1943 r. Utworzono Komitet redakcyjny w składzie czterech



osób: Insp. Gł. Bronisławy Wysłouchowej, Jadwigi Baranowskiej, Janiny Pilotowej i Herminii Naglerowej. Na pokrycie kosztów wydawnictwa miałyśmy... 8 funtów, pożyczonych przez koleżankę z Komitetu.

Krzątanina około wydania pierwszego numeru była niemal „heroiczna” i obfitowała w dużo momentów irytujących oraz... zabawnych. Drukowałyśmy „Ochotniczkę” raz w Jerozolimie, innym razem w Tel-Awiwie. Z początku przetarg z drukarniami zawarowali sobie Anglicy, potem zostawiono swobodę redakcji „Ochotniczki”, z tym jednak, że drukarnię wyznaczono. Cena druku rosła, o cynk było trudno, z papierem szło opornie. Kiedy miejscem postoju był już Egipt, „miejscem druku” została nadal Palestyna. Redaktorka jeździła więc kilkakrotnie z Egiptu do Jerozolimy. Ale i te trudności pokonywałyśmy, aby nie przerywać wydawnictwa, które było celowe i potrzebne.

Pismo nie zawsze mogło ukazywać się w terminie, ale nigdy nie rozmijało się z założeniem, przyjętym na początku. Każdy numer zawierał więc artykuły ideologiczne, informujące, oraz reportaże z życia i pracy P.S.K. Reportaże były tekstowe i ilustracyjne.

Z przejściem Armii do Włoch, przed „Ochotniczką” stanęły nowe trudności. Pismo nasze, wydawane dotąd przez Inspektorat Główny P.S.K., w nowych warunkach, już wojennych, nie mogło zachować swojej samodzielności i weszło w skład wydawnictw Oddziału Propagandy i Kultury A.P. „Ochotniczka” uzyskała tym samym opiekę i wydatną pomoc, zachowując jednak ścisły kontakt z Inspektoratem P.S.K., którego wskazania są nadal decydujące w sprawach ideologiczno-wychowawczych.

Po roku istnienia „Ochotniczki” możemy przyznać się do tego, że praca nasza nie poszła na marne.

„Ochotniczka” zyskała przyjaciół wśród czytelników, co wyraża się w listach do redakcji i w nadsyłanych utworach. Każdy nakład rozchodzi się bez zwrotów, a następny numer jest niecierpliwie oczekiwany. A że „Ochotniczka” jest jedynym kobiecym pismem wojskowym nie tylko w polskiej armii, spełniamy jednocześnie jak gdyby rolę pionierską, służąc tym sprawie kobiet na przyszłość.

Zapewniamy nasze Czytelniczki i naszych Czytelników, że będziemy nadal służyć sprawom, które skłoniły nas do podjęcia tego wydawnictwa.

Dziękujemy serdecznie współpracownikom i przyjaciołom naszego pisma za poparcie i życzliwość, za wyrozumiałość, za uznanie i rzeczową krytykę. Nie wątpimy, że w tej dobrej atmosferze, która już teraz otacza „Ochotniczkę”, wytrwamy na naszym posterunku aż do szczęśliwego powrotu do Kraju.

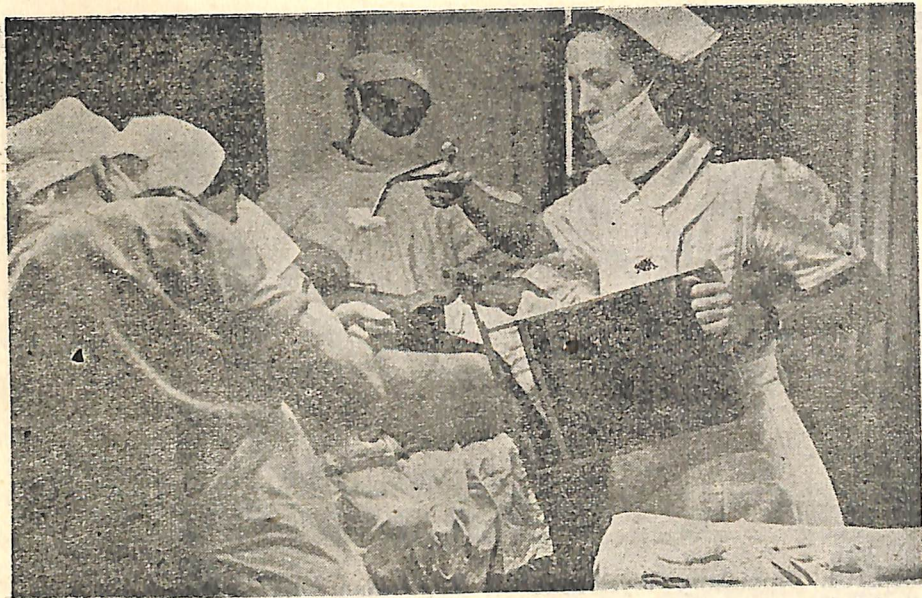
Redakcja „Ochotniczki”

Odpowiedzi redakcji

Koleżanka „Sworzeń”. — Artykułu Pani, choć jest bardzo dobry i ze wszech miar aktualny, nie możemy, niestety, zamieścić z przyczyn od nas niezależnych. Ten sam los spotkał i inne artykuły na ten temat. Nie trzeba Pani chyba zapewnić, że ubolewamy nad takim stanem rzeczy. Prosimy o nas nie zapominać i pisać, nie zrażając się tym, co się teraz stało. To, co myślą, co odczuwają nasze koleżanki ma dla nas duże znaczenie. Na wszystkie kwestje będziemy odpowiadać, albo bezpośrednio, albo w „odpowiedziach Redakcji”. Kontakt taki da nam napewno dużo i nieraz zastąpi niedomówienia, na które jesteśmy skazane.

Koleżanka H. J. — I my jesteśmy tego zdania, że należałoby głośno i szczerze wypowiadać się w tej sprawie. Są jednak trudności, których nie możemy zwalczyć. Dzieje się to ze szkodą naszą, a piśmu naszemu nadaje pozór obojętności dla tych spraw, które w tej chwili są dla nas naczelne. Wierzimy jednak, że ochotniczki, które już się zżyły ze swoim pismem, dobrze wiedzą, co Redakcja chciałaby teraz zamieścić i z czym pójść do swoich Czytelniczek.

**KOLEŻANKI,
czytajcie
i rozpowszechniajcie
Wasze pismo:
„Ochotniczka“**



Podczas operacji

„Był sobie krawiec Dratewka...”

Czy lubicie bajki? O olbrzymach i o smokach, o zaklętej królownie i o krasnoludkach, o śpiewającym drzewie, o Zar-ptaku cudaku... W bajkach wszystko takie proste. Wprawdzie pełno w nich strachów i niebezpieczeństw dużo, ale zło zawsze jest ukarane, cnota i dobroć wynagrodzona, a każda sierotka znajdzie swego królewicza.

Ja lubię bajki i żałuję, że nie ma już na świecie cudów, że nie ma ziela co przynosi szczęście, że nie ma wody, która uzdrowia.

Choć prawda, że i dzisiaj są czarodziejskie środki, wracające życie i zdrowie. Chodźcie ze mną, zobaczcie!

Przejdziemy wąskimi uliczkami włoskiego miasta, które jest brudne i brzydkie jak chyba nie wiele tylko miast w Italii. Ale to nic. Przejdziemy koło wartowni do oliwnego sadu. U stóp starych, wiekowych oliwek o listeczkach ze srebrnozielonego aksamitu — namioty.

Namioty — długie, brązowe. Równoległe, porządnie ustawione. 1, 2, 3, 4, 5. Pięć namiotów ma sekcja. Wśród nich jeden biały, kwadratowy z drzwiami z drucianej siatki. Wejdziemy właśnie do tego namiotu. Snieżno białe ścianki, pod oknem prowizoryczny stół operacyjny, stoliki białe ze szklanymi blatami, na nich butelki tej samej barwy i jednakowego kształtu, tylko płyny różnie się barwią i różne etykiety na butelkach. Na większym stoliku na wprost drzwi dziwne jakieś flaszki z rozpylaczami, małe pulweryzatory. A w szufladce, która widać dokładnie przez szklany blacik — jest dużo, dużo instrumentów, skalpeli, peanów, pincetek, haczyków, jakieś dziwnie okrągłe igły i metalowe pudełko zawierające strzykawki.

Jest rano. Pan Antoni, doskonały sanitariusz, już urzęduje. Skrapia podłogę detolem, wyciera stoliki. Siostra Jadzia z gładko uczesanymi czarnymi włosami, schludna, pachnąca, przygotowuje salkę do zabiegów. Dzisiaj jej ranny idzie pod nóż i igłę.

Nalewa do naczynka jodynę, spirytus. Wydaje p. Antoniemu strzykawki, potrzebne instrumenty i igły. Wszystko to musi się dokładnie wygotować. Szczotki do rąk już sterylne. Gorąca woda w baku też. P. Antoni flituje jeszcze salkę. Nie śmie być ani pyłka, ani muszki.

Siostra Renia, sekcyjna, przychodzi sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Jej mądra, dobra, kochana twarz o bystrych czarnych oczach z uwagą śledzących, czy jest wszystko w porządku — wyraża dziś zadowolenie.

Godzina 9-ta. Siostra Jadzia biegnie po pacjenta. Doktorzy wchodzi. Kierownik sekcji, atletycznej budowy, rumiany, sympatyczny brunet, o którym mówią,



Siostra instrumentaruszka

że ma szczęśliwą rękę i drugi chirurg, młodszy trochę, w binoklach.

Wnoszą chorego. Ranny odłamkiem granatu. Prawie całe udo wyszarpane. Przez kilka tygodni był pod gipsem, pod działaniem cudownego sulfanilamidu tkanka podbijała, oczyściła się przez kompresy z soli fizjologicznej, jest żywa, czuła i zdrowa. Dziś dr. F. postanowił „załatać” udo.

Lekarze myją ręce. Siostra Renia też. To jest precyzyjny obrzęd — to mycie rąk przed zabiegiem.

Gdy ręce są już czyste, siostra Renia podaje sterylne chatały, zawiązuje lekarzom maseczki. Potem siostra Jadzia podaje jeszcze spirytus dla ostatecznego oczyszczenia dłoni.

Pole operacyjne obmywa się spirytusem i otacza sterylnymi serwetkami. Dezynfekuje się również całą okolicę rany jodyną. Teraz przygotowuje się znieczulający zastrzyk. Siostra Jadzia podaje przygotowany już pentkotal w sterylnym naczyniu. Lekarz nabiera bezbarwny płyn. Wciąża długo, powoli do rurki strzykawki.

— Siostró Jadziu! Niech siostra będzie przy mnie blisko!

— Dobrze, syneczku, będę cały czas trzymała twoją nogę. Śpij!

Teraz do żyły chorego wchodzi długa, ostra igła. Już po kilku cm. szczęśliwych chory, który dotąd wystraszonymi oczami patrzył na wszystkich, zamyka oczy, zasypia. Nie czuje już nic. Lekarz narkotyzjer będzie przez cały czas uważał, czy chory śpi, czy się nie budzi, czy czuje.

Siostra Renia instrumentuje. Sprawnie, lekko, z wyczerpaną uwagą podaje potrzebne przedmioty. Więć skalpel. Lekarz ostrożnie, lecz pewnym ruchem zagłębia nóż w ranie. Podcina, skalpuje poprostu ranę wkoło na dość dużej przestrzeni. Zwinnie wyciera sterylnym gazikiem ukazującą się krew. Cudowny biały proszek — sulfanilamid — pokrywa ranę, której czerwień ginie. Teraz silk, igła. Siostra Renia nawleka igłę. Podaje. Sama wie kiedy, prawie niepotrzebne są uwagi i słowa lekarza. Szew za szwem umniejsza ranę, okrywa ją naciągniętą skórą, która tak już stała się elastyczna. W miejsce krwawego zwału mięsa powstaje czerwony pas, ujęty mocno trzymającymi się ścięgami szwów. Tak lekarz załatał pięknie rozwalone udo. Na wierzch znowu sulfanilamid. Płat sterylnej gazy — jeden, drugi. Siostra Jadzia oczyszcza nogę z krwi i już tylko bandażowanie, które tu na udzie nie jest wcale łatwe.

Lekarze znowu myją ręce. Na twarzy kierownika sekcji uśmiech zadowolenia. Znowu jedną nogę załatał. Czarodziejskie szycie udało się. Za tydzień, dziesięć dni zdejmie się szwy i chłopak będzie zdrow.

Czy to nie cudowna bajka? Nowoczesna, ale pod starym tytułem: „Był sobie krawiec Dratewka, co cudowną igłę miał...”

ONI i MY

Stanowią odrębną jednostkę, całość zamkniętą w sobie, pluton, w którym każdy z pracowników jest nieodzowny i niezbędny. Posiadają własne dowództwo, odrębną gospodarkę, a nawet inny teren zakwaterowania. Mimo to tworzą z naszą Kompanią Transportową jedność nierozdzielalną.

Dzięki ich pracy bowiem, pracy codziennej, mozolnej i szarej — my jako — Kompania Transportowa spełniamy należycie nasze obowiązki. Krótko mówiąc, Pluton Warsztatowy jest dla nas tym, czym jest serce dla każdego żywego organizmu. Porównanie to, choć banalne, jest jednak najtrafniejszym określeniem naszej współpracy z REPEM.

Bo proszę sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby tylko przez przeciąg jednego tygodnia pozostawiono nas same, bez opieki i pomocy naszych przyjaciół-mechaników. Oto wóz za wozem odmawiałby posłuszeństwa, ponieważ — przewody elektryczne przerwane, nagar na świecy grubości centymetra, wiatraczek obluźwany „fantastycznie”, hamulce blokują i t. p.

Trudno byłoby wymienić te wszystkie choroby i okaleczenia, jakim ulega nawet najbardziej „szanujący się” wóz, i z których może się wyleczyć jedynie dzięki pomocy mechanika. Gdyby więc REP przestał pracować, choroby rozpanoszyłyby się w zastraszającym tempie.

Na szczęście nie grozi nam taki kataklizm. Bez względu na pogodę, święta, czy inne „rzeczowe przeszkody” — Pluton Warsztatowy stoi wiernie na straży bezpieczeństwa i całości naszych wozów. I za to dziękujemy Wam, Koledzy, z całego serca. Niema wśród nas ani jednej, która nie oceniałaby w pełni Waszego wysiłku i Waszej dobrej woli.

Piszę nie tylko o Was, Koledzy, ale i do Was. Chciałabym więc, żeby moje słowa dotarły do Was i żeby rozprószyły najmniejszy nawet cień goryczy i żalu, jaki możecie jeszcze mieć do nas.

Pamiętam, że kiedy przybył do nas z Iraku Pluton Warsztatowy, byliśmy (oni i my) nieufnie nastawieni do czekającej nas współpracy. I dla nas było to nowe i dla nich. Mieli przecież po raz pierwszy obsługiwać... kobicę Kompanii Transportową. Ale już po kilku dniach porozumieliśmy się. Zwłaszcza Kompania Transportowa zrozumiała wartość Plutonu Warsztatowego. Każda kierowczyni (podówczas młoda i nie-doświadczona w sztuce jazdy) pojechała z miejsca, że odtąd ma wiernych sprzymierzeńców w obsłudze REPU. Nie będzie już zdana na własne siły w razie defektu wozu, bo jest ktoś, kto potrafi pomóc w najbardziej krytycznych momentach (wypadkach) w sposób niezawodny, a nawet niejednokrotnie dzięki dyskretniej pomocy uchroni przed naganą i wymówkami przełożonych. Ileż to razy biedne dziewczęta drżące z emocji, zapewniały nieśmiało: „że właśnie nie wiadomo jak i kiedy błotnik zgiął się, że doprawdy bez jej (czytaj: kierowczyni) winy zgiął klucz taki lub inny, że...” Pan



Tu musi pomóc REP

X lub Y wysłuchiwał tej litanii żalów, skarg i próśb z uśmiechem pobłażania i choć tam czasem trochę podrożył się, a nawet niby groził konsekwencjami — zguba została w miarę możliwości zastąpiona, uszkodzenia usunięte bez śladu.

To byłyby te małe, tylko nam znane przysługi, jakie nam „oni” wyświadczają, kierownicy naprawdę koleżeńską dla nas życzliwością. Ale istnieje przede wszystkim ich zasługa widoczna, niewątpliwa i znana nam wszystkim. Oto kompania nasza otrzymywała już kilkakrotnie pochwałę za wzorową pracę i nieskazitelne utrzymywanie wozów. Jeżeli na to zasłużyliśmy, to przyznajmy szczerze, że lwia część tych zasług przypada w udziale naszym Repistom. Dzięki ich starannej, fachowej pracy, dzięki ich racjonalnym wskazówkom wozy nasze utrzymujemy należycie, a co za tym idzie — powierzone nam zadania możemy wykonać w stu procentach.

Toteż dla Plutonu Warsztatowego żyjemy szczerą przyjaźnią i wdzięcznością, wiedząc, że i wśród Repistów mamy serdecznych i oddanych przyjaciół. Lubimy ich za pogodę ducha i za cierpliwość. Chciałybyśmy bardzo, żeby koledzy z REPU nie chowali do nas uraz za przykrości, jakie im nieraz sprawiamy (bo przecież na najbardziej pogodnym niebie zjawiają się chmury) i aby naprawdę uwierzyli w nasze uczucie szacunku dla nich i uznania.

To, co tu piszę, powinno być jak gdyby „listem otwartym” do REPU. List jest może trochę pogmatwany i nie wyraża wszystkiego dość jasno. Ale chciałam w imieniu naszej kompanii powiedzieć Repistom wiele miłych słów i przesłać im najmiłszy, na jaki nas stać, uśmiech jako podziękę za pracę tyłu, tyłu dni na rzecz naszych wozów.

J. Szumicka

Drajwerka

*Kwitły kiedyś w małej wiosce georginie,
Dzisiaj płynie wóz pancerny przez pustynię.*

*Dziewczę plotło w warkoczyki sine chabry,
Dziś oblicza poziom smarów, siłę napięć.*

*Dukał sztubak w dół i w górę dźwięczne gamy,
Dziś przemierza z snu wyjętą panoramę.*

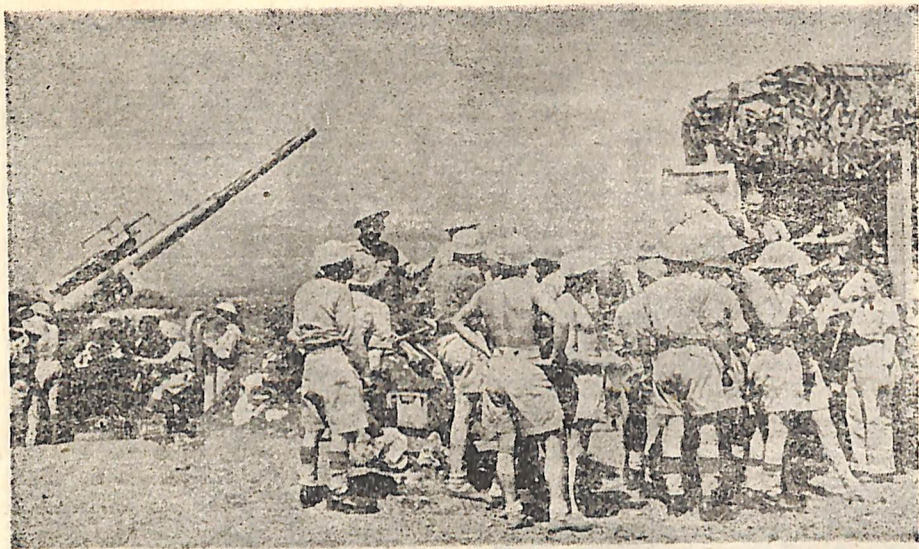
*Dłubie kluczem ciężkie sruby, tata spięcie,
Śmiałym wstrząsem zmienia biegi na zakręcie.*

*Pleśń cylindrów łowi uchem, chrobot sprzęgła,
Nie znużona, nie znudzona, nieulekła.*

*Kładzie dłonie na obwodzie kierownicy,
Płynnym ruchem muzykalnej uczenicy.*

*Pożytecznej czarnej pracy gra etiudę
Drajwerczka twórczej armii Polski jutra.*

Seweryn Ehrlich



Kantyna przyjechała!

SPOTKANIE Z PANCERNIAKAMI

Było to „bardzo dawno” temu. Ci- che opustoszałe, mokre dziś od jesien- nych deszczów S. Elpidio, było wtedy białe od letniego skwaru i pyłu prze- jeżdżających nie przerwany sznurem naszych wozów, wiozących żołnierzy, żywność i amunicję. Samo miasteczko było bezludne. Śpieszyliśmy się bardzo, żeby zdążyć jeszcze na czas do rusza- jących w dalszy pościg batalionów na- szej brygady. Gdzieś niedaleko rozerwał się zabłąkany (a może właśnie nie za- błąkany) pocisk artyleryjski. Zatrzyma- łyśmy się przed dużym domem. Na pod- wórze żołnierze już przygotowani do drogi wyjeżdżamy już na słynną „via na wozy. Doskonale, zdążyliśmy! Do- staną jeszcze na ciężką drogę pościgu pieczywo, owoce, papierosy i trochę konserw.

Szybko wyładowałyśmy nasz towar i nie zauważyłyśmy, że po drugiej stronie szosy, w cieniu zakurzonych drzew, sie- dzieli przy czołgach jacyś żołnierze bry- gady czołgów i przypatrywali się nam ciekawie. Dziś w nocy przechodziły tę- dy czołgi i napewno jeden z nich, uszko- dzony, czeka teraz na pomoc.

Kiedy po wydaniu towaru i uregulo- waniu rachunków, przy chóralnym „dowidzenia, a przyjedźcie jak najprę- dziej!” — zabierałyśmy się do odjazdu, zobaczyłam, że koło wozu stoi dwóch pancerniaków.

— „Proszę pani — zapytał jeden z nich — a czy mogłaby pani nakarmić także takich jak my?”

Zosia szybko wdrapała się na wóz i triumfalnie obwieściła, że jest jeszcze ca- ły placek, kilka ciastek, dwie konserwy i lemoniada. Z cienistego rowku wynur- zyło się jeszcze trzech innych żołnierzy w czarnych beretach, bardzo zadowolonych, uśmiechniętych do tej z nieba ze- słanej im kantyny.

Przy lemoniadzie, ciastkach (znalazły się jeszcze i owoce) wywiązała się rozmowa. Okazało się, że stoją tu od nocy, są spragnieni i głodni (beef roztopił się) i że są bardzo, bardzo zadowoleni z tej niespodzianki kantynowej.

— „A panie często tak zajeżdżają do batalionów?” — zapytał jeden z nich. Odpowiedziałam, że regularnie co czwarty dzień dojeżdżamy bądź bezpo- średnio do oddziałów, bądź do podofi- cerów żywnościowych, u których zosta- wiamy nasze kantynowe skarby na cały batalion.

— „Ot, szczęściarze ta piechota — po- zazdrościł pancerniak — do nich co czwarty dzień kantyna, a jakże, na front za nimi wiozą ciasteczka jabłuszka, a

Jedzie wóz dźwiękowy

Widocznie promień słońca wdarł się przemyślnie przez napół uchylone drzwi wozu, gdyż obudziłem się nagle i usia- dłem na łóżku.

Mała buda naszego wozu dźwiękowego wypełniła się słońcem, mile bzykające komary ciężko obciążone naszą słodką krwią skryły się w liściach najbliższych drzew.

Mój towarzysz — nazwijmy go Lu- cjan — otworzył właśnie jedno oko, szyb- ko jednak je zamknął porażony jasnością dnia, poczym się poderwał na łóżku...

— Która godzina? wyrzucił przez za- ciśnięte zęby.

— 6-ta... odmruknąłem... może pan spać jeszcze.

— Jak tu spać? zaperzył się pan Lu- cjan, komary nie dają spać... cholery.

W odpowiedzi wyciągnąłem „niegdys piękne ręce” w niemej skardze. Były zeszpecone bąblami i zadrapaniami.

— Cholery — powtórzyłem, lecz ko- lega już zasnął, nie słuchając mych dal- szych wywodów.

Taką rozmową zaczynamy każdy dzień. Podzielone też są pierwsze poranne czynności. Pan Lucjan śpi jesz- cze, gdy ja się ubieram. W ciasnej bu- dzie dźwiękowego wozu dwóch równo- cześnie nie mogłoby się ubierać.

Zaczyna się zwykły dzień. Słońce sierpniowe nie zważając, że jeszcze rano

ty, bracie, usmaż się w tym czołgu i ni- gdy nie dostaniesz. No, i niech pa- ni powie — dlaczego tak?”

Uśmiechnęłam się z zakłopotaniem. Bo i rzeczywiście, jak wytłumaczyć, dlacze- go tak? Więc zamiast tego — odpowie- działam, że i tak każda spotkana kan- tyna napewno im nie odmówi ani napo- jów, ani pieczywa, jeśli ma, tak jak każ- demu żołnierzowi polskiemu.

Ale mój rozmowny pancerniak pokrę- cił głową, a potem powiedział, że to nie to samo, że oni by bardzo chcieli mieć swoją własną kantynę, wiedzieć, że za nimi też jeździ taki wóz (skromność nie pozwala mówić o tym, że i o obsadzie też się korzystnie wyraził), że tam się ktoś o niego troszczy, dba.

Robiło się już późno. Trzeba było wracać do tyłu. Przeładowałyśmy jesz- cze resztki tego co było na wozie do czołgu i ruszyliśmy w drogę. A najpo- ważniejszy pancerniak, kiedy już zamy- kałyśmy wóz, odsunął zniecierpliwionym gestem beret z czoła i nie wiadomo kogo zapytał:

„No i czego my do diabła nie mamy własnej kantyny?” — Ale pytanie pozos- tało bez odpowiedzi.*)

Regina Kaplukiewicz

*) Kantyniarka poskapiła odpowiedzi pancerniakowi tylko dlatego, że zna ry- gor wojskowy i nie krytykuje... zarzą- dzeń. Wiedziała bowiem dobrze, dlacze- go właśnie pancerniaci nie mają swojej kantyny. I Redakcja „Ochotniczeki” także wie, ale to jest „t.j.”.

— przygrzewa bezlitośnie. Występują na nas pierwsze poranne poty.

Siadam przy radio, notuję wiadomo- ści ze świata, tylko oówek skrzypi. Pan Lucjan grzebie w tajemniczych dla mnie mechanizmach wozu.

Obiad i wyjazd natychmiast w teren na poszukiwanie oddziałów. Z bocznej drogi czekali na rozkaz ładowania się adriatica”. Z prawej strony wozu gubi się w przestrzeni lazuruowego Adriatyku, z lewej zieleń, pola, łąki, przed nami błyszcząca wstęga asfaltu.

Kiedy koła naszej maszyny dotkna „via adriatica”, zawsze doznaję wzru- szenia. To nie byle jaka droga. Wielkie się na niej dokonują wydarzenia. Wła- ściwie na niej rozgrywa się wielka bit- wa na t.zw. odcinku adriatyckim.

To nic, że miasta i osady, przez któ- re przebiega, często są w gruzach, że mosty leżą z poszarpanymi od wybu- chów kadłubami, że słupy telegraficzne, kable i szyny, równolegle idącej linii ko- lejowej, leżą powyginane, poskręcane jakby w przedśmiertnych skurczach, że co kilka kilometrów siny asfalt zamienia się w drogę polną i że trzeba wtedy je- chać objazdami, które nawet czołgom nie byłyby miłe, to nie znaczy nic, zu- pełnie nic. Nie stanowi żadnej prze- szkody.

Via adriatica żyje, pulsuje, dudni, trzęsie się, zawiewa oczy kłębami kurzu i niesie na sobie setki, tysiące ton zaopatrzenia.

Kiedy tak spoglądam z okna wozu, który paszczami swych megafonów zwraca uwagę driverów wszystkich narodowości i mieszkańców, stojących przy drodze, ogarnia mnie pewne drżenie, świadomość, że i nasz wóz należy do tego gigantycznego konwoju, idącego w kierunku frontu.

„Via adriatica”, po której sunęły przed wojną zgrabne limuzyny, nad którą rozsiadły się piękne, kąpieliskowe miejscowości, dzisiaj w odmiennych warunkach służy bezpośrednio wielkiemu dziełu ofenzywy.

Stojąc przy drodze lub jadąc po niej, widzi się setki wozów wszelkich typów i przeznaczeń, setki czołgów, setki żołnierzy jadących na front i z frontu. Wtedy też uświadamia sobie człowiek milionowe koszty wojny. Przez „via adriatica” płynie właściwie struga złota zamienionego na stal, żelazo, materiał wybuchowy, żywność, leki. Właściwie, to nie koła wozów, lecz miliony złotych dolarów i funtów szterlingów dniami i nocą przeluwają się tutaj wartkim prądem nad morzem Adriatyckim.

I tu na „via adriatica” zaczyna się odgadywać sens metody nowej wojny. Ta droga jest łożyskiem nieprzerwanego łańcucha dostaw i w milionach ton odliczanego zaopatrzenia.

Na „via adriatica” spotyka się też gromady jasnowłosych, pół nagich, zakurzonych Brytyjczyków, którzy błyszcząc potem, występującym na napięte od wysiłku barki, mozolą się nad utrzymaniem drogi w należytym stanie.

Jeśli saperzy niemieccy byli mistrzami w niszczeniu mostów i dróg, to saperzy brytyjscy i nasi polscy okazali się nie mniejszymi mistrzami w ich naprawie. Nieomal na oczach, w paru godzinach sypią się drogi, znikają głębokie lejce od bomb i min, wyrastają mosty.

Bo nerw życiowy ofenzywy — „via adriatica” — musi pracować bez przerwy całą dobę. Konwoje nie mogą czekać.

Ale z „via” trzeba wreszcie zjechać, bo strażka i tabliczka z numerem mówią nam niedwuznacznie, że znaleźliśmy się przed oddziałem, który oddawny czeka na audycję. Wtedy ja daję znak ręką jadącym za nami wozom i wóz dźwiękowy powoli zwraca swe megafony w nowym kierunku.

Zajeżdżamy. Nie widać żołnierzy, choć wozy i namioty wyraźnie sterczą ponad krzakami. Niezrażeni jednak pozorną nieobecnością słuchaczy wykładamy książki, gazety i puszczaemy płytę z marszem.

Z krzaków wybiegają natychmiast żołnierze, obok wozu robi się od razu pełno. Teraz Lucjan przemawia, potem muzyka i moja kolejka. Żołnierze kupują gazety, książki. Przed chwilą wyłożony stos różnych wydawnictw stopniał na poczekaniu, stos pieniędzy w kasetce urósł. Najważniejsze, że żołnierze sami płacą i wydają sobie resztę, korzystając z przybitego do wozu cennika. Przysięgam, że dotychczas żadnych braków nie było. Tak zresztą być musi.

Wychylam głowę przez okno wozu. Z megafonów płynie upajająca melodia: „Gwiaździsty pył” — „Polvere di stelle”. Zasluchani żołnierze marzą, zapominając na chwilę o okropnościach wojny. Dobry psycholog Lucjan, nie może mówić Lucek, bo to poważny pan, daje jeszcze lepszą płytę: „Cantami un tango”.

Żołnierze mruczą melodię pod nosem i tęsknie spoglądają w oczy signorinom, które wybiegły z pobliskich domów, by popatrzeć na „macchina parlante” — wóz dźwiękowy.

Kończymy audycję i odjeżdżamy dalej do nowego oddziału. Zanurzamy się w kurzu, którym zawiął nas złośliwy wiatr pędzący z nad Adriatyku.

Już o zmierzchu „ciągniemy do bazy”, z trudem przedzierając się pośród konwoju. Nasz pocziwy wóz, sapnąwszy kilka razy silnikiem i zgrzytnąwszy hamulcem, staje wreszcie pod drzewami. Wychodzimy przed niego.

— Piękna noc — mówię, patrząc na błądy księżyca, który wypłynął był z nad Adriatyku.

— Piękna. Tylko zobaczymy, jak się skończy — zauważa kwaśno pan Lucjan.

— Pan myśli, że Luftwaffe będzie „czuwać nad nami”? — Nie czekając odpowiedzi, prawie dalej:

— To, że byli tu trzy dni temu, to już nie nie znaczy, RAF i USAAF zro-

biły wczoraj swoje. Luftwaffe poszła spać na wieki.

Postaliśmy chwilę w milczeniu. Z oddali doszedł do nas głęboki pomruk dział. Artyleria nasza zaczęła nocną przegrówkę pod Pesaro.

Przed snem sprawdzamy siatki przeciwkomarowe, smarujemy twarz, ręce, szyję malariolem, zupełnie zgodnie z przepisami przeciw malarycznymi. Za chwilę w wozie cicho, tak cicho, że słychać bzykanie coraz wyraźniejsze chmary komarów, gotujących się to szturm na nasze siatki. Piękna, biała noc nad Adriatykiem upływa nam na walce z moskitami.

Jutro, najeżywszy groźnie megafony, wejdziemy znowu na utarty szlak asfaltowej „via adriatica”, przez którą przejechało dziś tysiące wozów, przez którą tysiące przejedzie tej nocy i przez którą przewali jutro znowu jeszcze jeden strumień zaopatrzenia.

Jutro znowu przez „via adriatica” w zgodnym rytmie zwycięskiego marszu przesunie się wielki cień wozu dźwiękowego, straszącego dzieci czeluściami swych głośników.

Jutro, tak jak codziennie, drogą adriatycką, objazdami i budowanymi na prędce mostami pojedą dziwne maszyny — zwane wozami dźwiękowymi.

Bogdan Zenon Znowski

WALENTOWA MÓWI

(List otwarty do Pana Władysława Gieysztor)

Wielce Szanowny Panie Redaktorze! (Tak Pana tytułowano, o ile się nie myle, w pamiętnym dla Pana i dla mnie okresie).

We wrześniowym numerze „Ochotniczki” ukazał się przedruk opowieści Pana p. t. „Walentowa”, który nasunął moim wspomnieniom obrazy ze stycznia pewnego roku, tak realistycznie przez Pana opisane, a przeze mnie i przez Pana przeżyte na szlaku: Warszawa — Częstochowa — Kielce — Tunel (tu zimna, ciemna noc pod gołym niebem) — Kraków. Wreszcie ostatni etap — jazda sałami po przez Cisnę, pod nosem Gestapo, gdzie Pan tak swobodnie pokazywał fałszywe dokumenty i upoważnienia najwyższych władz niemieckich na zakup drzewa. Jechał Pan oglądać las aż pod granicę węgierską, a ja, Walentowa, ofiarnie zabrana przez Pana po drodze, mocno ścisłałam w garści zwitek cennych dokumentów powierzonych mojej opiece.

To nie była kiełbasa, która w swym wnętrzu chroniła tajemnicę walczącej podziemnej Polski, to był... salceson, który, mimo zimna, zepsuł mi się w drodze i byłam zmuszona go wyrzucić.

W obawie przed rewizją, przez resztę drogi ścisłałam cenny pakunek w garści, by w razie niebezpieczeństwa (które w równej mierze groziło obu Panom jak i mnie) móc rzucić go do śniegu. W związku z tym przeżyłam istotnie jeden moment emocjonujący, gdy jadąc wzdłuż Sanu nie mogliśmy ominąć szwa-

ba sprawdzającego dokumenty przy moście, zaś po przeciwnej stronie mostu stał bolszewik.

Mój dokument podać mogłam tylko lewą ręką, bo prawa była zajęta... a Pan wtedy skrzyczał mnie za maruderstwo. To był błąd, Panie Redaktorze, bo wiejska baba nie musiała rozumieć o co szwabowi chodzi.

Nasz woźnica, umówiony do Cisny, nie miał ochoty jechać dalej, a przecież pozostałe 8 km dla Panów były decydujące. Przeważała obietnica Pana dania mu wódki, której jednak nie otrzymał gdyż nie zdążył. A szkoda, bo zasłużył na nią w zupełności.

O możliwości zdrady rozmyślałam już wtedy, gdy na przestrzeni tych 8 km. przysiadł się do nas inny Osip, z tartaku — gadatliwy, wymowny, zdawałoby się pragnący zajrzeć aż do duszy i swoją otworzyć. Nasunęły mi te przypuszczenia także ciemne postacie innych Osipów, stojących w prawie odmierzonych odstępach, z laskami wyrastającymi w nocy do rozmiarów maczug i czyhających na swoje „ofiary”, za które dostawali po 5 złotych od głowy. Właściwy Osip zdradził się wobec mnie tym, że „musiał” przebrać się do dalszej podróży z Panami. Nie uwierzyłam, pobiegłam za nim, by sprawdzić. Jego chałupa odpowiedziała mi głuchym milczeniem i to mi wystarczyło.

Góry węgierskie rozdzieliły to, co nas łączyło: wspólne cele — ale i z nimi

idące w ślad za Wami gorące życzenia pomyślnego dobru do naszych, aby z Waszych ust usłyszeli nasze wołanie o pomoc i o naszej silnej woli walki aż do zwycięstwa.

Złorzeczający woźnica, krzątający się przy furze zapadłej wraz z końmi w zaspie, zamieć i przejmujące zimno, głucha, uśpiona wioska i perspektywa nie uniknionego spotkania się ze szwabami — to pozostało po mojej stronie.

Nie wiele mam do dodania dla zakończenia tego okresu dziejów Walentowej.

Trochę strachu, znajomość języka ukraińskiego, ofiarowanie znanej Panom chusty w kratę wiozącemu mnie na Gestapo z dodatkiem 50 zł. i milczącym zezwoleniem na ukradzenie z magicznego kosza pięknego wełnianego szalika i... znalazłam się na dworcu kolejki wąskotorowej tuż przed zakretem, za którym stał gmach Gestapo. Gorąca modlitwa, by „samowarek” wreszcie ruszył i już byłam 8 km. za Cisną.

Niestety, nie dalej, bo zasypane śnieżne utworzyły przeszkody nie do przebycia dla „samowarka”, ale nie dla człowieka. Poszłam więc pieszo. Bardzo starannie omijałam wieś i miasteczka kosztem zapadania się po pas w śniegu i niemożności ugaszenia wielkiego pragnienia. Wieczorem dnia następnego po naszym rozstaniu — dojechałam do stacji kolejowej. Świat znów uśmiechnął się do mnie, a światło bijące z okienka przytulnego na wygląd domku, mówiło o możliwości dostania wody. Na pukanie odpowiedziano uprzejmie i... znalazłam się znów w gronie kilkunastu Osipów. Moje urodzenie w Kijowie i niemal osobista znajomość z Petlurą (bezmała w pieluszkach zawarta) dały mi możliwość na-

wiązania bliższej i, zdawałoby się, serdeczniejszej znajomości z moimi niepowołanymi, przygodnymi śledczymi. Obiecałam, oczywiście, skierowywać tu chętnych do przejścia za granicę po 5 zł. od osoby, a w związku z tym koniecznie były mi potrzebne adresy przewodników.

Z wyrazami serdeczności i przyjaźni całe towarzystwo odprowadziło mnie na dworzec i wprowadziło do... mieszkania patrolu niemieckiego.

Jeden z patrolu poprawną polszczyzną starał się nawiązać ze mną nieomal towarzyską rozmowę, gdy jak spod ziemi przysła mi odsiecz w postaci naszego, polskiego kolejarza. Na wszystkie stawiane mi pytania on odpowiadał sam, jakgdyby je czytał w moich myślach.

Później ulokował mnie w oddzielnym przedziale pociągu, który wreszcie przyszedł i powierzył mnie opiece kolegi konduktora. Do mnie osobiście powiedział tylko tyle:

„Niech pani natychmiast zmieni ponoczochoy, bo zapalenie płuc murowane, no, i niech pani szczęści się jak dotychczas”.

O nim do dziś wiem tylko tyle, że mu na imię Polak. Może czytając dzieje Walentowej, tak jak ja przypominam sobie pewien wieczór styczniowy, zabłąkaną, samotną kobietę i może wreszcie powie nam, dlaczego nie wie, gdzie, wiedział wszystko.

Dalsze dzieje Walentowej po przez blisko 5 lat były dziwnie urozmaicone, a jednak tak podobne do tych, które przeżywało wielu Polaków.

Nieudane przejście inne, gdzie indziej, kilkugodzinny przymusowy „postój” na placówce niemieckiej wraz z osobistą rewizją, szorowaniem podłóg i ofertą na

zastępczynię kucharki (odpowiednie dla Walentowej); później przecież przejście Sanu dla półtora rocznego zapoznania się z systemem więziennictwa wschodniego sąsiada i wreszcie przeżywanie wspólnych momentów zmartwychwstania Armii Polskiej i jej pięknych wzlotów.

A następnie, poprzez Azję Środkową, Persję, Irak, Palestynę, Egipt (zawadzając po drodze o Syryję), u boku zwycięskiego pochodu pod Cassino, Ancone, Pesarę — po dziś dzień z wielką tęsknotą za Krajem i niezachwianą wiarą i wolą powrotu po przez wszystkie przeszkody i kłody — do Najjaśniejszej, Wolnej, Całej, Odrodzonej, stanowiącej samej o sobie. A tam, jeśli sił starczy — do odbudowy wioski pod Sochaczewem.

Tymczasem szoferuję. Jestem w znacznej już kobiecej kompanii transportowej, z czego jestem dumna.

A Pan, Panie Redaktorze? Mocno szpanowała (przepraszam!) głowa, dysury wzrok szybka decyzja, silna wola i gorące serce Polaka — czy tak samo, jak wtedy łamie przeszkody na przestrzeni tysięcy mil w drodze do Wilna?

Wierzę, że się spotkamy, a wtedy będzie mi się coś należało od Pana. To „coś”, to piękne przeprosiny za „starą, pięćdziesięcioletnią kobietę”. Jak Pan widzi, jestem próżna, ale bo też naprawdę, dziś jeszcze, po blisko pięcioletnim okresie dzielącym nas od wspólnych przeżyć pod granicą węgierską, jestem daleka od pięćdziesiątki.

Gdybym była wiedziała wówczas, że takie sprawiam wrażenie, nie byłabym tłumaczyła się moim niepowołanym „opiekunom” z nad granicy, że chciał mnie Pan... uwieść.

Walentowa

KOBIETA SERBSKA PO PRZEZ WIEKI

Są narody szczęśliwe, których dzieje toczą się prawie w spokoju. Ale są i takie, które żyją niemal ciągle wśród burz. Historia narodu serbskiego toczy się przez 18 wieków wśród nieprzerwanych walk, zaborów, wojen i powstań. Przerwy pokojowego rozwoju są jedynie krótkimi okresami.

Los narodu i państwa dzielają i kobiety. To też Serbki uczestniczyły zawsze w tym, co przechodził ich naród i zawsze szły ręką w rękę z mężczyznami. Od samych początków osiedlenia się Serbów na półwyspie Bałkańskim aż do dzisiejszej walki o istnienie serbskiego narodu, kobieta serbska pracuje, tworzy, walczy i umiera dla wspólnej sprawy. W zamierzonych czasach kobiety serbskie miały te same prawa i obowiązki co mężczyźni, a tracą je wraz z utratą niepodległości państwa, kiedy zaczyna obowiązywać prawo rzymskie a potem tureckie.

Pieśń ludowa zachowała jednak to uczucie szacunku i czci, jaką Serbowie żywią dla kobiety-matki. Najświętszą przysięgą jeszcze dotąd jest zaklęcie się na mleko matki. Oto matka poucza syna:

„Tak, jak piłeś mleko twej matki,
Tak nigdy nie kalaj się kłamstwem”.

Jewrosima, matka królewicza Marka, legendarnego bohatera, syna króla Vukasina, udziela synowi nauk:

„Marku, grzechu nie bierz na swoją duszę.
Bo lepiej jest stracić życie
Niż duszę obarczyć grzechem!”



Strój ludowy Serbek w Dalmacji

Nie świadcz, Marku, fałszywie
Ani na ojca rzecz, ani też stryja,
Tylko według prawdy Boga Prawdziwego”.

Matka Jewrosima jest uosobieniem prawdomówności i sprawiedliwości, jest wzorem cnót rodzinnych dla kobiet serbskich. Najpiękniejszy cykl serbskich pieśni ludowych głosi te cnoty kobiet. Głęboką miłość matki do dziecka, czułość, współczucie i ofiarność wcielił naród serbski w matkę Jugowiczów. Łączą się te pieśni z bitwą serbsko-turecką na Kossowym Polu (1389 r.), kiedy to bohaterski bój Serbów zakończył się klęską i upadkiem niepodległości.

„Modli się do Boga matka Jugowicza,
O oczy sokole się modli,
O białe skrzydła łabędzie,
Żeby polecieć na Kossowe Pole
I tam odszukać swoich Jugowiczów”.

Kiedy tam przysła, znalazła swoich
dziewięciu synów poległych a męża swego,
Jug-Bogdana, jako dziesiątego.

„Ale tak mocnego serca była,
Ze ani jednej łzy nie uroniła”.

Powróciła do domu i tam dwa gawrony
przyniosły jej rękę najmłodszego

syna. Wtedy ból matki dosięgnął szczytu:

„Ręko moja, jabłonko zielona,
Gdzie ty roślasz, gdzie cię odrąbano?
Roślasz na matki łonie,
Odrąbanaś na Kossowym Polu...

Powiedziała to i Bogu oddała ducha”.

Inna kobieta tych czasów, opowitych legendą i roslawionych pieśnią, — jest caryca Milica, mądra, stateczna i stanowcza. Kiedy car Łazar, jej mąż, poległ na Kossowym Polu, obieła rządy, a wydając swoją córkę za sułtana Bajazeta, zachowała na czas jakiś autonomię Serbii pod zwierzchnictwem tureckim.

Były i inne, które rządziły krajem, aby wymienić Helenę (Helene) i Jerinę (Irene), ale Milica sprawowała rządy w kraju, który doznał nieszczęścia klęski. Utraciła w bitwie na Kossowym Polu męża, braci, ojca i zięciów. Szlachta serbska rozpoczęła swary o władzę i państwu groziło rozpadnięcie się. Milica swoją dzielnością i stanowczością zapobiegła temu.

W wiekach średnich kobieta serbska ze sfer szlacheckich była bardziej wykształcona i posiadała więcej kultury niż mężczyzna-szlachcic. Ona jest piśmienna, ona zakłada klasztory a przy nich szkoły dla dziewcząt szlacheckich, funduje szpitale, opiekuje się ludem. Nieraz usuwa się z życia świeckiego, aby w klasztornym zaciszu poświęcić się pielęgnowaniu chorych i wspomaganie ubogich. Mówi o niej pieśń, że jako młoda dziewczyna odznacza się pięknnością, jako młoda kobieta dobrocią i dzielnością, a jako matrona jest miłosierna i ofiarna.

Jeszcze w wieku 13-ym powstała grupa, głosząca równość społecznej wspólnoty i postępu. Nazwa tej grupy: „Bogumili”. Należą też do niej kobiety bez względu na pochodzenie. Na nieszczęście dla narodu serbskiego i dla całego Bałkanu „Bogumili” prześladowani i masowo mordowani, ulegli zagładzie.

Pięćset lat naród serbski cierpiał, walczył, krwawił i ponawiał próby wyzwolenia się spod jarzma tureckiego. W walkach tych kobieta serbska brała udział jako strażniczka kultury, obyczaju narodowego, religii i patriarchalnej moralności. Dzięki kobiecie, zachowała się rdzenna kultura serbska w motywach haftów ludowych i w stroju, w ornamentach zdobiących sprzęty i budowlę. W ścięgu, w tkaninie, w barwie, w śpiewanej melodji, w słowie starej pieśni — przetrwała serbskość, przekazywana przez kobiety z pokolenia w pokolenie. Zaden wpływ obcy nie miał dostępu do domu serbskiego, nad którym czuwały kobiety. A kiedy mężczyźni walczyli, ona sama zajmowała się gospodarstwem i ona także pomykała w góry z całym dobytkiem, gdy nieprzyjaciel podchodził do siedzib.

W pierwszym (1804) i w drugim (1812) powstaniu serbskim kobieta wspomagała mężczyzn w ich ciężkich walkach. Kiedy powstanie przeciw Turkom objęło cały kraj, kiedy pożary niszczyły wsie i osiedla, kobieta serbska nie załamała się, ale opiekowała się dziećmi, starcami, chorymi i rannymi, ukrywając ich w pie-



Kobiety serbskie w wojsku gen. Mihajłowicza

czarach górskich. Był moment, kiedy mężczyźni znużeni i wycieńczeni, postanowili poddać się wrogom. Wtedy księżna Ljubica, małżonka księcia Miłosza, powiedziała do zniechęconych klęskami wojewodów (dowódców): „Wstyd wam! Czy jesteście mężczyznami? Przepasać wam fartuchy i kucharzyć! Nam, kobietom, dajcie wasze karabiny, żebyśmy, zamiast was mogły pójść walczyć z wrogiem!” Zawstydzili się wojewodowie i znowu ruszyli do walki, tym razem zwycięskiej.

W wojnach — bałkańskiej i światowej — kobieta serbska dała z siebie wiele. Zastąpiła mężczyzn w kraju. Szła za pługiem, orała, kosiła, nawet młot ujęła w kuźni. Pracowała w rolnictwie, handlu, w urzędach. W szpitalach była nie zastąpiona. Setki tysięcy mężczyzn zginęło na wojnie, więc kobieta serbska stała się głową domu, była ojcem i matką. Można powiedzieć, że na swoich „kobiecych barkach” dźwigała całą gospodarkę kraju.

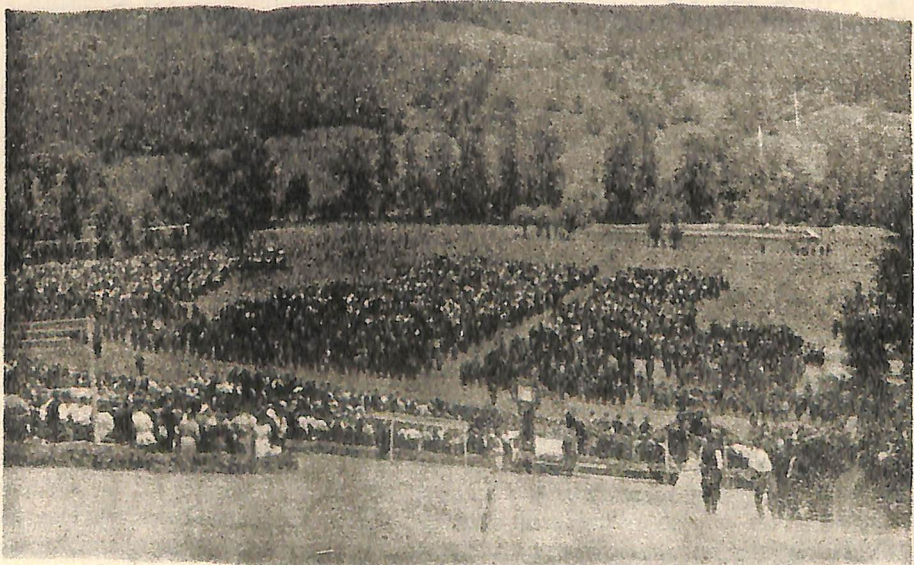
Nastaly ciężkie dni dla serbskiej kobiety, osieroconej, owdowiałej, zdanej całkowicie na siebie. Życie jej, młodej czy starej, należało teraz do osieroczonych dzieci zarówno własnych jak i cudzych. Kształciła i wychowywała te dzieci, aby je znowu oddać „Ojczyźnie, Bogu i Królowi”. Jej praca sprawiła,

że polepszyły się warunki w kraju, co umożliwiło rozkwit i postęp młodego państwa serbskiego.

W nowym państwie, w Jugosławii, kobieta serbska staje się współpracownikiem mężczyzny, dorównującym mu w wielu dziedzinach. Za czym zwiększa się ilość szkół żeńskich, powstają gimnazja i seminarja nauczycielskie, wzrasta liczba kobiet studujących na wyższych uczelniach. Kobiety widzimy już we wszystkich zawodach. Są nauczycielkami, lekarkami, adwokatkami, urzędniczkami, są nawet szefami gabinetów ministerialnych. Mimo to, ustawodawstwo kraju nie ulega zmianie w stosunku do kobiet. Pozostała nadal ubezwłasnowolniona, oddana pod opiekę prawną męża lub ojca.

Nie biorąc udziału czynnego i biernego w życiu politycznym, kobieta serbska weszła jednak do życia społecznego, ekonomicznego i intelektualnego. Przed wojną obecną, 35 % robotników stanowiły kobiety, a w niektórych gałęziach pracy dosięgały 80%. Przeważnie pracowała kobieta serbska w gospodarstwie domowym, w przemyśle domowym i w rolnictwie. W fabrykach, których jest mało w Serbii, pracowało tylko 10 % kobiet.

Zrozumiałe jest, że w tych warunkach kobieta serbska walczyła o swoje pra-



Oddziały wojsk Gen. Michajłowicza

wa polityczne i o równouprawnienie. W walce tej pierwsze miejsce zajęły robotnice, które jeszcze w r. 1910 utworzyły przy stronnictwie socjalistycznym t.zw. „Sekretariat Kobiet” i posiadały swoje pismo „Jednakost” („Równość”). Pismo to ukazywało się do r. 1923. Inna grupa kobiet, zorganizowana w Stowarzyszenie kobiet pracujących umysłowo, również miała swoje pismo: „Żeński Pokret”, istniejące aż do wybuchu obecnej wojny. Założenia tej grupy były feministyczne. Kobiety serbskie należały do dwóch stronnictw politycznych: socjalistycznego i ludowej partii słoweńskiej o zabarwieniu klerykalnym. Inne stronnictwa polityczne w Jugosławii nie miały w swoim programie równouprawnienia kobiet. Dodać jeszcze należy, że kobiety serbskie były współpracownikami pism i czasopism i jako dziennikarki weszły do życia kulturalnego kraju.

Dzielność, energia, ofiarność kobiet serbskich ujawniły się też i w tej wojnie, tak dla narodu serbskiego tragicznej. Tysiące kobiet serbskich rozstrzelano, powieszono, prześladowano, więziono i torturowano. W walkach, które toczył i nadal toczy naród serbski, wy-

stępują dwa obozy: „Czetnicy” bohaterskiego generała Mihajlovica i „Partyzanci” Tita. Tu i tam są kobiety. W armii gen. Mihajlovica są kurierkami, pielęgniarkami, są służbą pomocniczą. W oddziałach Tita walczą z bronią w ręce.



Serbka w stroju ludowym

Ciężki dziś jest los kobiet serbskich. Przeżyły upadek Jugosławii i krwawie nie Serbii. Nie wiadomo, co wyniknie z tego piekła, w którym jest dziś cały naród. Jedno jest jednak wiadome i pewne — że kobieta serbska, dzielna, mądra i ofiarna, zniesie wszystkie przeciwności i cierpienia i że pewnego dnia znowu ujrzy swój kraj wyzwolony, zjednoczony, wielki, silny i odrodzony. Serbia przez 13 wieków żyła, chorowała, umierała i zmartwychwstawała. Ona i teraz, jak Feniks ożyje i podniesie się z tej najstraszliwej katastrofy. Stanie się to także na skutek zasług kobiety serbskiej, tak jak to nieraz bywało w burzliwych i bohaterskich dziejach serbskiego narodu.

Perunika *)

*) Autorka artykułu, ukrywająca się pod tym pseudonimem — jest znaną działaczką i bojowniczką serbską. Tragiczne w tej wojnie losy narodu serbskiego i państwa Jugosłowiańskiego budzą dobrze zrozumiane przez nas współczucie. Kobiety polskie niewątpliwie z dużym zainteresowaniem przeczytają artykuł o dzielnych swoich siostrach — Serbkach.

„Naczelny wódz w każdej wojnie stanowi część nieodłączną państwa. Musi na sobie wytrzymać ciężar polityki. Bez niej nie ma wojny — są one nieodłączne od siebie“.

Józef Piłsudski („Pisma“)

„Zdołałem wielkim wysiłkiem woli uchronić się od brudu pracy dla okupantów, bo nie daję zbrukać siebie, ani ludzi, których prowadziłem. Miałem za sobą prześladowanie i więzienie Magdeburgskie. Gdy trzeba było stawiać ostre karty — stawiłem. Jedynie honoru i czci dać nigdy nie chciałem. Należą do mnie i do ludzi, których ze sobą prowadziłem, i do Polski“.

Józef Piłsudski („Pisma“)

ANITA GARIBALDI

Postać Garibaldiego, którą fantazja ludowa otoczyła legendami, zmieniającymi nieraz prawdziwą historię, pozostała na zawsze symbolem harmonii i czynu, nawet w wieku, w którym zapomniano i zdewaluowano epokę Romantyzmu.

Chcąc mówić o czynnym i szlachetnym życiu Józefa Garibaldiego, należałoby wspomnieć nie tylko bohaterski okres Risorgimento włoskiego, ale wszystkie walki o wolność, które toczyły się wtedy na obu półkulach świata. Zrozumielibyśmy wtedy, jak prawie zawsze w takich chwilach dziejowych wyrasta jakaś jednostka po nad tłum i prowadzi go do wielkich spraw. Nieraz los stawia koło takiej postaci towarzyszkę godną bohatera.

Anita Garibaldi była tą, która dzieliła dołę i niedolę twórcy zjednoczenia Włoch.

W jednym rozdziale „Pamiętników” Garibaldiego — „bohatera dwóch światów” — jest kilka słów jego o pierwszym spotkaniu z Anitą:

„Oboje staliśmy nieruchomi, milczący, wpatrując się w siebie, jak osoby, które nie widzą się po raz pierwszy i które szukają w swoich rysach czegoś dawno znajomego. Wreszcie ukloniłem się jej



Pomnik Anity Garibaldi w Rzymie na Janiculum

i powiedziałem: „Ty musisz być moja”. Umiałem mało po portugalsku i powiedziałem tych kilka słów po włosku. Jakby fluid magnetyczny ogarnął mnie i obezwładnił. Zadziergnałem węzeł, który tylko śmierć mogła rozerwać”.

Anita Ribeiro de Silva z Laguny di Santa Catharina ze stanu Pio Grande

do Sul, którą poznał w tak romantyczny sposób Garibaldi, została jego żoną i podzieliła z nim wszystkie niebezpieczeństwa i trudy na obczyźnie, a potem w kraju aż do chwili obrony Republiki Rzymskiej w 1849 roku, kiedy z dzieckiem na rękę brała udział w bitwie, tak jak jest uwieczniona na pomniku na Janiculum w Rzymie.

Od pierwszej chwili, po zawarciu związku małżeńskiego, stanęła Anita u boku Garibaldiego jako towarzyszką broń. Zaraz po ślubie na rozkaz generała Canabarro wyszły z Laguny uzbrojone trzy okręty, żeby zaatakować statki cesarskie, które znajdowały się u wybrzeży Brazylii. Był to pierwszy epizod wojny, w której odwaga i bohaterska decyzja Anity zaważyły. „Na pomoście statku z szablą w ręku dodawała odwagi marynarzom”.

„Kiedy walka stawała się coraz bardziej zacięta — opowiada Garibaldi w swoich „Pamiętnikach” — kula armatnia przewróciła Anitę razem z dwoma walącymi obok niej marynarzami. Podbiegłem do niej, myśląc, że jest zabita. Ale ona podniosła się natychmiast. Dwaj leżący obok niej towarzysze już nie żyli. Wtedy prosiłem ją, żeby zeszła pod po-

kład okrętu. — „Tak, zejść — odpowiedziała — ale po to, żeby wyciągnąć stamtąd tych, którzy się tam ukryli”. — I w istocie zaraz zeszła, a po chwili wróciła, popychając przed sobą dwóch czy trzech marynarzy zawstydzonych i upokorzonych, że okazali mniej odwagi od kobiety”.

W folwarczku Sant Simon 16-o września 1840 r. urodził się im pierwszy syn, któremu dano imię Menotti. Po niedostatku i wycierpianych niewygodach, Anita miała rozłączyć się z mężem, lecz nie zgodziła się na to. Chciała, mimo wszystko, nadal dzielić z nim trudy i niebezpieczeństwa. Brała więc udział w kampanii republikańskiej i siedząc na koniu, patrzyła na losy bitwy, zakończonej zwycięstwem garibaldeckim nad wojskiem generała Acunha.

Później zaś, kiedy Garibaldi został uwięziony i torturowany w Gualogay, kiedy los nie szczędził cierpień a tragiczna niepewność zawisła nad bohaterem, Anita nie ustępowała podczas tych ciężkich chwil. Umiała wytrwać, walczyć i pokonać wszystkie trudności, tak jak ją uczył — On.

Wreszcie nadszedł ten długo oczekiwany dzień, kiedy Garibaldi wraz z 63 towarzyszami opuścił brzegi La Platy, żeby wrócić do Włoch i walczyć dla zjednoczenia kraju. Ruchy powstańcze przybierały na sile. Rosła coraz bardziej działalność wolnościowa na półwyspie i Garibaldi postanowił, że nawet gdyby powstanie zostało stłumione, należy je wywołać na nowo. W tym też celu zamierzał wyładować przy lesistych brzegach Toskanii.

Okręt „Speranza” (Nadzieja) płynął przez Atlantyk do ojczyzny, niosąc na swym pokładzie tego, który miał urzeczywistnić wielkie marzenie narodu włoskiego. W pobliżu brzegów półwyspu na jednym ze znajdujących się tam okrętów powiewał trójkolorowy sztandar, oznajmiając „Speranza”, że całe Włochy już powstały, że Austriacy uciekają, a Medjolan jest już wolny.

Garibaldi postanowił więc nie lądować w Toskanii. Udał się w kierunku Nicei, gdzie czekała Anita z dziećmi oraz jego matka, której nie widział już tyle lat. Walki toczyły się jednak nad Mincio i Garibaldi nie mógł długo pozostać w rodzinnym mieście. Z Anitą i swoimi towarzyszami udał się więc do Genui.

Tak zaczęła się epopeja Garibaldiego na ziemi włoskiej. Każdy krok na drodze do wolności okrywał chwałą jego imię. A w końcu ukoronował jego walkę zdobyciem Rzymu i zjednoczeniem Włoch.

Na zwycięskiej drodze ku sławie Garibaldi nie tylko zostawiał przelaną krew swoich towarzyszy i krew ze swoich ran. W okresie tych walk, ścigany przez Austriaków wraz ze swoją chorą Anitą, która była w ostatnich miesiącach ciąży, Garibaldi chciał się schronić do republiki San Marino, aby stamtąd dostać się do Wenecji. Zamialem jego było



Pomnik Garibaldiego - Rzym, Janiculum

zostawić ukochaną towarzyszkę w bezpiecznym miejscu a samemu ruszyć w dalszą drogę, w drogę walki i trudów. Ale Anita nie zgodziła się na to. Jak zawsze w chwili niebezpieczeństwa i niepewności postanowiła zostać przy mężu. Wyruszyli więc razem. Stan jej zdrowia pogarszał się jednak, a po krótkim odpoczynku w Cesenatico, Garibaldi przyniósł ją prawie umierającą do chłopskiej chaty w Mandrioli. To był już kres wędrówki Anity na wspólnej drodze z Bohaterem dwóch światów. Anita przyniesiona do chaty, po kilku minutach wyzionęła ducha.

„Gorzko płakałem nad stratą mojej Anity — pisze Garibaldi w „Pamiętnikach” — nad tą, która była moją nieodłączną towarzyszką we wszystkich zdarzeniach mego życia. Poleciłem tym dobrym ludziom, którzy mnie otaczali, żeby pochowali zmarłą i szybko oddaliłem się, żeby nie narazić ich moją obecnością. Skierowałem się przez Sant'Alberto”.

Przez lasy i pola Rawenny uciekał, jak tropione zwierzę. Ratowali jego życie odważni patrioci Romanii, a on sam — bez Anity — szedł teraz drogą, która prowadziła do nowych bohaterskich czynów i do zjednoczenia Włoch.

W trzydziści lat po śmierci Anity, kiedy imię Józefa Garibaldiego związane było z największą chwałą ojczyzny, po walkach we Francji i w Ameryce dla wolności ludów, bohater Włoch zakończył życie na wyspie Caprera. I znowu brzeg morski, który widział go wtedy, kiedy przybył tu w poranku młodości, ujrzał go odchodzącego na zawsze, ale w wieczystej glorii narodowej.

Teraz spoczywa Garibaldi obok swojej towarzyszki. Jest pó wieczne czasy blisko niej na tym skrawku ziemi włoskiej, gdzie Anita wraz z tyłoma bohaterami umarła dla wolności.

Aurora Beniamino

(z włoskiego przeł. Hanna Mirecka)

ś. † p.

MARIA PARCZEWSKA

Dnia 29. lipca 1944 r. zmarła na włoskiej ziemi siostra Przełożona 2. Szpitala Wojennego ś. p. Maria z Salomonowiczów Parczewska. Urodziła się 28. marca, 1902 r. w Wilnie. Swoje dzieciństwo i młodość spędziła w rodzinnym majątku Czerwonym Dworze, niedaleko Wilna. Wykształcenie Sreźnie, a następnie uniwersyteckie otrzymała w Wilnie. Jako 17-to letnia panna zgłosiła się ochotniczo do Brygady Syberyjskiej, gdzie w charakterze siostry pracowała przy chorych i rannych.

Po ukończeniu wojny światowej, pracowała nadal jako siostra w Amer. Czerwonym Krzyżu w Wilnie, oraz rozpoczęła studia w uniwersytecie Stefana Batorego. Przedmiotem Jej studiów była filozofia ścisła, głównie psychologia.

Bedąc słuchaczką uniwersytetu, w wolnych chwilach od zajęć pracowała nadal ochotniczo jako siostra w wileńskich szpitalach. Po wyjściu z domu nie przerwała początkowo ani swych studiów ani pracy siostrzanej — życie Jej dalsze płynęło między wsią a miastem, na wsi wychowywała swoje małe dzieci, a w Wilnie studiowała częściowo w uniwersytecie, częściowo pracowała w szpitalach. Gdy dzieci Jej podrosły, przeniosła się na stałe do Wilna celem kształcenia swej córki i syna. Wówczas, obok pracy nad wychowaniem i kształceniem swych dzieci, poświęciła się umiłowanej przez siebie pracy samarytańskiej i jako siostra bezinteresownie pracowała szereg lat w szpitalach wileńskich na oddziałach psychiatrycznych i chorób wewnętrznych.

Rok 1939 zastaje ś. p. siostrę Parczewską w Wilnie jako siostrę P.C.K. Po zajęciu Wilna przez Rosjan, wstępuje ponownie do Amer. Czerwonego Krzyża i organizuje pomoc dla polskiej ludności uchodźczej, która wskutek wypadków wojennych znalazła się na obszarach wileńszczyzny. Przez okupacyjne władze sowieckie wywieziona została ś. p. siostra Parczewska wraz z dziećmi w głąb Rosji, do Ałtajskiego kraju, w czerwcu 1941 r., zaś męża Jej aresztowano i wywieziono w niewiadomym kierunku. W Rosji przeznaczono Ją, zarówno jak Jej dzieci do przymusowych robót rolnych w rejonie Siepunowskim.

Po odzyskaniu wolności, wyjechała ś. p. siostra Parczewska z dziećmi oraz innymi uwolnionymi polskimi rodzinami na południe Rosji Sowieckiej nad rzekę Amur Darję do Farabu. Tam, widząc potrzeby naszej ludności, przystąpiła natychmiast do pracy jako siostra.

Z początkiem 1942 r. wstąpiła do P.S.K. i pracowała jako siostra w Guzarze w ambulatorium na stacji kolejowej. W marcu tegoż roku wyjechała z

„Chciałbym w narodzie polskim widzieć psychologię szeregowca, który nawet przy nieszczęśliwych rezultatach bitwy zachować musi spokój i nie traci nigdy nadziei”.

Józef Piłsudski („Pisma”)

transportami naszych wojsk do Persji i przebywała w Teheranie, pracując na stanowisku siostry Przełożonej w 18-tym Hinduskim Szpitalu. W grudniu tegoż roku przybyła do Iraku i objęła funkcję Siostry Przełożonej 2. Szpitala Wojennego. Na stanowisku tym pozostała do końca swego życia, kierując pracą sióstr, zarówno w Iraku, jak w Egipcie i we Włoszech. Nieuleczalna choroba serca zakończyła Jej piękne, ofiarne życie. Osierociła dwoje dzieci: córkę Marię, ochotniczkę P.S.K., która niedawno chlubnie złożyła maturę w Szkole Młodszych Ochotniczek, oraz syna Krzysztofa, ucznia Szkoły Kadeckiej w Barbarze, w Palestynie.

Ś. p. Siostra Parczewska zmarła w 3 Szpitalu Wojennym, gdzie leczono Ją z największą starannością. Pogrzeb odbył się dnia 31 lipca 1944 r. przy licznych udziale personelu lekarskiego i sióstr 3 Szpitala Wojennego z Komendantem płk. Oktawcem na czele. — W pogrzebie wzięły udział Inspektorka Główna Bronisława Wyslouchowa oraz Inspektorka Zdrowia Jadwiga Zylińska. Wypadki wojenne niestety tak pokierowały losami 2 Szpitala Wojennego, że zarówno w chwili zachorowania Przełożonej Parczewskiej, jak też w chwili Jej zgonu, Szpital zmieniał miejsce postoju. Dlatego żegnały Ją tylko siostry i ochotniczki z 2 Szpitala Wojennego, które czekały na transport drogą morską.

Zwłoki spoczęły na wojennym cmentarzu angielskim w Palagianio w Apulii.

Nad mogiłą Zmarłej przemówił w serdecznych słowach ks. mjr. Tyczkowski, podkreślając wysokie wartości moralne i ideowe ś. p. Siostry Przełożonej. Po czym jedna z koleżanek żegnała Zmarłą tymi słowami:

„Zrządzeniem Boga żegnać mamy dzisiaj na zawsze naszą Siostrę Przełożoną. Trudno pogodzić się z myślą, że nie ma Jej między nami, skoro tak żywo tkwią nam jeszcze w pamięci chwile Jej przyjazdu do naszego Szpitala w Khanakińskiej pastynie Iraku.

Widzimy Ją zawsze czynną, energiczną, pełną wiary w wyniki naszej pracy i ostatnio pełną wiary w swój powrót do zdrowia. Widzimy Ją jak z wrodzoną, wielką, subtelną kulturą kierowała nami w pracy szpitalnej, i w naszym życiu zbiorowym. A dzisiaj nie ma Jej wśród nas.

Nad otwartą mogiłą stoimy, by pożegnać Ją po raz ostatni.

Siostrze Przełożona — my siostry Twoje żegnamy Cię nie tylko jako naszą Przełożoną, ale chcemy zastąpić Ci dzisiaj najbliższą Rodzinę Twoją, dzieci Twe, które w tej chwili tak daleko są od Ciebie.

Zostawiamy Cię tutaj na obcej ziemi, wśród obcych ludzi, daleko od Kraju.

Nie ujrzysz już, Siostrze, więcej Twych ukochanych kościołów wileńskich, nie uklęknieś przed Panią z Ostrej Bramy, nie wstąpisz więcej w progi rodzinnego Twojego dworu, nie zasłuchasz się w poszum starych borów Wileńszczyzny.

Żegnamy Cię dzisiaj sercem całym jako tą, która swój zapał i siły swoje złożyła w dani ofiarnej pracy siostrzanej, tak w ubiegłej wojnie światowej jak i w obecnej dziejowej zawierusze.

Wiemy, że nie raz sprawialiśmy Ci przykrość, czy to zachowaniem naszym, czy też niedociągnięciem w pracy. — Dzisiaj żegnając Cię na zawsze, obiecujemy, że głębokim zasadom i ideałom pracy samartyńskiej wierne pozostajemy i wszystko co najlepsze jest w duszy naszej, co najszlachetniejsze w sercach naszych, złożymy dla Wielkiej Wspólnej Sprawy.

Żegnaj nam Siostrze Przełożona, Twej zacnej pamięci oddajemy cześć — my siostry Twoje”.

* * *

Za wzruszającą troskliwość okazaną przez cały czas choroby zmarłej Przełożonej — Komendant 161 Szpitala Wojennego ppłk lek. dr Kazimierz Barucki składa podziękowanie Komendantowi 3 Szpitala Wojennego dr. płk. Oktawcowi, Siostrze Przełożonej Stefani Niedźwiałowskiej, PP. lekarzom, siostrom i sanitariuszkom.

„Niepewność wartości swego czynu, niepewność jego skutków, myśl, że potoki krwi wytoczone być mogą daremnie — to ciężar ogromny, który dźwiga żołnierz bez Ojczyzny, bez Państwa, bez Rządu“.

Józef Piłsudski („Pisma“)

Te inne ochotniczki

Kiedy patrzę na fotografię ładnej polskiej dziewczyny w żołnierskim mundurze na okładce miesięcznika „Ochotniczka”, przypominają mi się te wszystkie inne „ochotniczki”, które spotykałem od roku 1939 na terenie całej Europy. Były to kobiety różnych narodowości, różnego wieku i różnych klas. Jedyną ich spójnią był wspólny wróg.

Na okładce „Ochotniczki”. — Figura Chrystusa, dłuta A. Prószyńskiego. Rzeźba umieszczona była na tarasie Kościoła św. Krzyża w Warszawie, Krakowskie Przedmieście. Kościół ten, w początkach XVII w., jeszcze drewniany spalony podczas najazdu Szwedów, odbudowany w stylu barokowym według projektu J. Bellotiego za pieniądze króla Jana Sobieskiego i prymasa ks. Michała Radziwiłła. Budowę ukończono w 1639 r. Fasadę kościoła wybudowano dopiero w r. 1757. Styl barokowy kościoła św. Krzyża — poważny o monumentalnych zarysach. Wnętrze należało do najokazalszych w Warszawie. Projektowana wielka kopuła miała wlewać więcej światła do wnętrza. W jednym z filarów u św. Krzyża znajdowały się wmurowane serca Chopina i Reymonta. Dziś kościół św. Krzyża XX Misjonarzy podzielił los Warszawy — legł w gruzach.

Bywają w życiu okresy lub sytuacje, w których człowiek zbliża się do człowieka jedynie w wypadku koniecznej potrzeby i w takich okolicznościach poznaje się najlepiej, co ów człowiek jest wart — co jest warte jego serce.

O okresie ostatnich pięciu lat przekonałem się osobiście, co znaczy to słowo — CZŁOWIEK. I nie chcę analizować dlaczego, ale we wszystkich tych wypadkach człowieka spotykałem nie wśród mężczyzn — ale wśród kobiet.

* * *

Rok 1942. Zwyczajne, sobotnie letnie popołudnie — kiedy słońce chyli się ku zachodowi — wioska, ale nie ta nasza — obca — wioska niemiecka i tylko z dala od pól i łąk przedziwnie pachnie czymś, co tak bardzo przypomina Polskę. Poza tym wszystko normalne. Jeniec wojenny korzysta, że w przerwie „podróż” po żużel wachman i szofer poszli na piwo — stoi i rozgląda się wokół. (Zawsze jedna i ta sama myśl badająca możliwości ucieczki). Droga idzie grupka dziewcząt wiejskich, o niebieskich oczach i jasnych włosach. Czuje jeniec, że od idących bije jakiś fluid swojskości, coś, czego określić się nie da słowami. Niemki też mają jasne wło-

sy i oczy niebieskie a jednak jakieś inne. Dziewczeta zbliżają się i jeniec słyszy jak o czymś rozprawiają... po polsku.

Czar mowy ojczystej ma w takich wypadkach urok nieopisany. Nie pamięta się wtedy, co znaczy „verboten” i z ust jénca pada: — Dzień dobry panienki! — Skutek nieoczekiwany. 7 czy 8 dziewczątek, w wieku 16 — 18 lat dosłownie rzuca się na rodaka:

— Pan Polak! W niewoli. Dawno? Biedny!

Otaczają jénca, skubią, głaszcza, śmieją się i płaczą na przemian. Znać, że radość pomieszana z żalnością płynie prosto z serc. Tu nie ma miejsca na wypada lub nie wypada, mo na lub nie można. W tej chwili przestał istnieć Adolf Hitler wraz z całym swoim wielkim narodem niemieckim — tu ma miejsce tak ważne spotkanie — serc. Jednak te dziewczeta mają już szkołę życia — z ust jednej pada pytanie:

— A może pan głodny?

I w okamgnieniu rozwijają się węzki i ręce jénca są pełne kawałków chleba i sera. Mizerna kęsy ze skromnych racji. Jeniec jest wyraźnie zadowolony. Opowiada historię o ukradzionym bochenku chleba, aby mieć pretekst odmówienia daru, bo wie, że wieczorem tamte będą głodne. Dziewczeta cieszą się, że jeniec nie głodny i że figla Niemcom spłatał. Z okna piwiarni dochodzi głos szofera:

— Was ist das?

Czar pryska, pojawia się rzeczywistość. Szofer — to młody entuzjastyczny hitlerowiec. Dziewczeta za te kilka chwil mogą zapłacić obozem koncentracyjnym, choć widać, że nie wiele sobie z tego robią. Następuje szybkie pożegnanie i moment, w którym jeniec czuje jakby tracił kogoś bardzo kochanego, bardzo bliskiego. Odchodzą — już odeszły. Jednak nie daleko. Zatrzymały się, naradziły i po chwili jedna z nich wraca, wciska coś w rękę jeńca i ucieka, bo Niemcy nadchodzą. W rękę pozostaje kilka marek takich, jakich miliony kursuje w Europie. Ale te są inne niż tamte miliony. Tych kilka marek — to relikwie polskiego serca.

* * *

W kilka, a może kilkanaście miesięcy później ten sam jeniec wraz z pięciu innymi „zwolnił się z niewoli” i rozpoczęli podróż ku wolności. „Droga” prowadziła przez bezludne okolice i odbywała się tylko nocami. Na granicy węgierskiej, na skutek wadliwego wykonania mapy („Zakłady Kartograficzne Stalag Y”), grupa zbiegów zostaje ostrzelana i reszta nocy schodzi na szukaniu kryjówek. Jutro próba przejścia będzie powtórzona. Jest jesień. I ona i wolność tak dziwnie pachną. Wokoło pusto. I tylko stóg siana, w którym w napięciu nerwów oczekują zbiegowie. Przeszedł dzień — słońce już przechyliło się na drugą stronę nieba i do stogu zbliża się dziewczyna pasąca krowy, które ciągną ku domowi, leniwie skubiąc trawę. Dziewczyna coś mruczy półgłosem. Melodia nieznaną, ale słowa... polskie. Zabiło sześć polskich serc. Ze stogu wychyla się głowa:

— Hej, panienko, dobry wieczór!

Dziewczyna początkowo przestraszona, opanowała się szybko i podeszła z zaciekawioną. Następuje krótka informacja:

— Polacy. Uciekamy do Węgier. Granica daleko? Niemców nie ma?

Dziewczyna ucieszona, że Polacy uciekli, że granica tuż. Niemcy są, ale przejść można, tylko trzeba iść trochę w górę, tam gdzie kanał się kończy, bo na mostku stoi ich posterunek.

— A panienska Polka?

— O tak, my Polacy. Niemcy nas tu przywieźli. Poczekajcie panowie, ja zaraz tatusia przyprowadzę. Mieszkamy blisko.

Przyszedł tatuś. Porozmawiał trochę, zapewnił, że drogę przez granicę pokaze i zakończył:

— Poczekajcie chwilę, ja zaraz wrócę. Tylko się stąd nie ruszajcie.

Poszedł i wrócił. Ale z nim przyszedł feldfelbel i ośmiu żołnierzy, którzy bagnietami wyłuskali zbiegów jednego po drugim. Żaden nie spojrzął nawet na denuncjanta, bo oczy wszystkich konwojowanych skierowane były na dziewczynę, stojącą w bezruchu i tylko z jej szeroko otwartych oczu płynęły łzy. Patrząc na żal malujący się w tych oczach, nie było tak ciężko wracać, choć tym razem już nie do obozu, a do więzienia.

* * *

I znów upłynęły miesiące — długie, bo miesiące niewoli. Zmieniły się dekoracje. Niewola należy do przeszłości. Teraz zaopatrzony we wszelkie niezbędne



Ewakuacja...

dne a fałszywe dokumenty, człowiek, już nie jeniec — pracuje. Chodzi w cywilnym ubraniu, gra przyjętą na siebie rolę. Ale istnieje rozkaz, istnieje organizacja, bo Francja nie wyrzeka się wolności i praca podziemna wre. Głównie wydzierają się ludzie z rąk niemieckich, którzy są zmuszeni do wyjazdu do Niemiec jako „wolni robotnicy”. Ludzie ci wolą raczej ryzykować więzienie a nawet życie i próbować przejść Piryneje. Z rozkazu organizacji człowiek pojechał do Marsylii z ważnymi dokumentami. Marsylia w owym momencie to jedno z miast Francji bardzo silnie strzeżonych przez Gestapo, Police de Vichy, żandarmerię i jeszcze jakieś inne policje. Przyjazd wieczorem. Wyjście z dworca udało się, pomimo szpalery władz bezpieczeństwa. Z teczką w rękę, z zadowoleniem w sercu — wypełnić zadanie! Radość krótkotrwała. W dzielnicy portowej obława. Właśnie w tym momencie, kiedy człowiek w niej się znajduje, kordony policji zamknęły wszystkie ulice. Sytuacja staje się bardzo mało zabawna. Papierów nie ma gdzie zniszczyć. Rzucić nie można — bo rozkaz organizacji. Dać się złapać — głupio. A policja rewiduje przechodniów, przeszukuje domy, mieszkania. Człowiek próbuje porozumieć się z różnymi „typami”. Nic z tego nie wychodzi. Każdy z tych ludzi jest napół przytomny. Niedobrze. Dla opanowania — papieros. I w tej chwili tuż obok odzywa się głos kobiety:

— Du feu (ognia).

Człowiek podaje i kobieta zaczyna konwersację.

— Nie idzie?

— Nie idzie.

— Co w tezcze? Towar?

— Gorzej.

Dziewczyna gwizdnęła cicho. Przyjrzała mu się w blasku papierosa.

— Militaire?

— Tak — odpowiada człowiek, zastanawiając się błyskawicznie, jaka jest różnica między śmiercią przez powieszenie a rozstrzelanie.

— Chodź!

Poszli. Dziewczyna zaprowadziła do jakiegoś podziemia. Nie wiadomo skąd wyciągnęła butelkę wina i papierosy, rzeczy, które w owym czasie we Francji były tak trudne do zdobycia. Sama odeszła, polecając czekać. Człowiek czekał w napięciu, pamiętając już jedno takie czekanie, które zakończyło się przy-

ściem Niemców. Ale nie. Rano przyszła ta sama dziewczyna.

— Możesz wyjść, wszystko w porządku.

Miałem swoje pieniądze, chciałem dać dziewczynie dość dużą sumę. Była warta nagrody. Pogardliwie spojrzęła na plik banknotów, jeszcze bardziej pogardliwie na mnie i powiedziała:

— Cóż ty sobie myślisz! Jestem Francuzką. Bonne chance!

I odeszła.

* * *

Był okres, w którym zdawało się, że wszyscy mężczyźni opuszczają Francję. Jedni jechali na wschód — do Niemiec „na roboty”, inni na zachód — do Hiszpanii, choć wiedzieli, że tam czeka ich po różnych dworcach, które były wtedy tajne, polskie władze wojskowe prowadziły ewakuację Polaków z Francji i tych, którzy zbiegli z Szwajcarii lub Niemiec. Ludzi tych specjalna organizacja przemyciała. Niemcy obsadzili wszystkie drogi i dróżki. Jedynie przejścia na wysokości 2 — 3 tysięcy m. były mniej strzeżone. Przemycanie odbywało się w ten sposób, że dowództwo przysyłało po pięciu ludzi, każdego z osobna, do pasa zakazanego (zone interdite). Tu specjalista zbierał ich po różnych dworcach, które były pod ścisłą obserwacją, a następnie pilotował do kryjówek. I stąd wyruszyła w nocy grupka pięciu ludzi z przewodnikami hiszpańskimi. Grupy te przeważnie przechodziły, choć były i takie, które wpadały, ale to dość rzadko. W jednej z takich kryjówek była kobieta: Maria. Narodowość nieznaną. Mówiła po francusku tak dobrze jak po hiszpańsku. Ale na zapytanie, gdzie jest jej kraj rodzinny, odpowiadała, pokazując góry: — Tam! — Czasem jako przewodnik prowadziła grupę przez góry.

Jednej z tych wspaniałych nocy letnich, grupa przygotowała się do wymarszu. W napięciu czekają godziny 23-ej. O tej godzinie kończy się seans w kinie i można z miasteczka wyjść niespostrzeżenie. Prowadzi Maria i Juan. Wyjście z miasteczka odbywa się szczęśliwie, ale grupa ta miała pecha. Zaraz za mostkiem patrol francuskiej żandarmerii: — Halt! — Żandarmi byli tak przestraszeni jak członkowie grupy. To też udało się. Biegiem naprzód! Kilkanaście kilometrów dalej — patrol niemieckich motocyklistów. Niestety dostrzegli. Sami nie mieli

czasu nie zrobić, bo grupa zniknęła. Ale od tej chwili wiadomo już było, że Niemcy będą polowali. I rzeczywiście tej nocy grupa natknęła się jeszcze na dwa patrole. Dzień spędzony w lesie, znów noc i znów patrole. Bez następstw, ale nerwowo wyczerpujące.

Ostatni dzień w górach ma się ku końcowi. Można opuścić kryjówkę i iść dalej. Wysokość około 3 tysięcy metrów. Niemców chyba tu nie będzie. Jednak byli. Był patrol na sąsiednim szczycie. Dostrzegł grupę i rozpoczął pościg. Teraz już tylko jedna szansa — pisać się szybko w górę i czekać na zbawienną noc. Grupa zamienia się w utalentowanych alpinistów. Nadeszła upragniona noc, ale Niemcy wpadli na ślad i otworzyli ogień. Trzeba rozproszyć się. Po pewnym czasie Niemcy widocznie zrezygnowali z pościgu i nastała cisza. Przewodnik umówionym sygnałem zwołał leżących w ukryciu ludzi. Brak jednego z naszych i Marii. Przewodnik nawoływał

ich jeszcze przez pewien czas, ale na tej wysokości i gdy idzie gra o śmierć i życie, nie ma miejsca na sentymenty. Trzeba iść dalej. Rankiem ta zmniejszona grupka była już po stronie hiszpańskiej. Cała potęga niemiecka stała się tylko koszmarem przeszłości. Teraz wszyscy leżą w słońcu, ciesząc się życiem i wolnością. Nagle — alarm. Wszyscy porwali się na nogi. Od strony granicy ktoś się zbliża. Idzie zwolna, ślizgając się po zlodowaciałym i stromym zboczu. Człowiek? Nie, zbyt duży. Więc co? Mijają chwile przykrego wyczekiwania. Wreszcie ów kształt zbliżył się tak, że można było odróżnić dwie osoby. To Maria, prawie niosąca postrzelonego w udo Polaka. Teraz wszyscy jej dziękują, wychwalając odwagę i poświęcenie, ale ona roześmiała się tylko, mówiąc:

— Ja go prowadziłam i musiałam strzec, bo to są moje góry.

Jerzy Puszczynski

KRONIKA

Nazwiska odznaczonych ochotniczek

W poprzednim numerze naszego piśma podałyśmy ilość odznaczonych koleżanek. Dziś zamieszczamy ich nazwiska, składając im przy tej sposobności najserdeczniejsze gratulacje.

Krzyż Walecznych otrzymały: ochotn. Biernacka Stanisława, Czerniawska Wanda, Lempicka Maria, siostry Andrełowicz Antonina, Szymańska Halina. — Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami: Insp. Sł. Zdrowia Żylińska Jadwiga. — Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami: Kmdtki komp. Ciupkówna Henryka, Makłowicz Jadwiga, Spałkowska Wanda, siostry Banzel Olga, Baszak Emma, Ciska Antonina, Chowaniec-Sieniawska Zofia, Czapska Władysława, Dąbrowska Anna Ewa, Drozdowska Izabella, Dobrońska Józefa, Grocholska Sabina Marta, Janicka Janina, Kolgan Stefania, Kwapisz Janina, Mirocznik Liza, Mścichowska Leokadia, Niedźwiazkowska Stefania, Niczewska Aurelia, Ociepko-Malczewska Janina, Pokorska Anna, Prus Ewa Barbara, Sinicka Lucyna, Szlamas Helena, Szot Kazimiera, Strzemecka Maria, Sprzędzińska Stefania, Tysper Felicja, Unichowska Karolina, Wanke Irena Aniela, Wróblewska Władysława, Wołyńska Halina, Wyderka Halina, Zaleska Teresa Maria Antonina. — Brązowy Krzyż Zasługi z Mieczami: ochotn. Budko Małgorzata, Bulhak Emilia, Burakiewicz Maria, Dudko Helena, st. ochotn. Duduk Olimpia, ochotn. Hasiuk Aniela, Kucharska Aleksandra, Kijowska Janina, Liszewska Halina, Mauthe Krystyna, Motoszko Halina, Mrozowicz Julia, st. ochotn. Najdziec Józefa, Noga Stefania, ochotn. Podobińska Maria, Polewska Zofia, st. ochotn. Pyśnicka Jadwiga, ochotn. Rosiek Olga, sekc. Rosińska Maria, ochotn. Skirmunt Olga, Stanisławska Maria, st. ochotn. Stefanowska Urszula, ochotn. Stepniowa Aleksandra, Świdarska Olimpia, sekc. Siedlecka Apolonia, st. ochotn. Stań-

czak Stanisława, ochotn. Stopnicka Janina, przod. Szczepkowska Mirosława, ochotn. Szostak Bronisława, st. ochotn. Tychmanowicz Anna, ochotn. Wittich Teresa, druž. Wróblewska Maria, ochotn. Żelazko Zofia, siostry Blatt Maria Mirosława, Drejman Kazimiera, Gan Weronika, Krzyżkowska Władysława, sanit. Kmita Elżbieta, siostry Leszner Eleonora, Olekiewicz Leokadia, sanit. Piółunowicz Janina, siostra Szejko Maria, sanit. Sztraub Anna, Szymienas Stefania, siostra Wejtowa Bolesława, sanit. Zybińska Józefa, Rybicka Stefania i Bielecka Kazimiera.

Sprawozdanie z Kursu Doksztalającego w Plut. Łączności P.S.K.

W plutonach łączności P. S. K. zorganizowano kurs dokształcający dla ochotniczek. Na kurs uczęszcza 20 ochotniczek. Kurs dzieli się na 3 grupy:

- gr. I, 1 kl. gimnazjum — 1 ochot.
- „ II, III i IV kl. „ — 6 „
- „ III. I i II kl. liceum — 13 „

Komendantką kursu jest k-tnka Sabina Pobereżna. Wykładowczyni jest 5. Organizacja pracy przedstawia się następująco:

Starsza kursu st. och. Izabella Rajkowska, wraz z wykładowczyniami posiadającymi maturę licealną, układa program i rozplanowuje go na okresy czasu, w których ma być wykonany. Rozdziela podręczniki (niepełne 2 komplety na każdą klasę) i biblioteczkę naukową na poszczególne sekcje, pracujące w różnych miejscowościach. Grup takich jest od sześciu do ośmiu, zależnie od nasilenia pracy w Korpusie. Każda sekcja, we własnym zakresie stara się o pomoc osób, posiadających odpowiednie kwalifikacje, a znajdujących się w najbliższych oddziałach. Raz na tydzień odbywają się repetycje z poszczególnych przedmiotów we wszystkich sekcjach, przeprowadzane przez p. por. Grota.

Praca utrudniona jest brakiem dostatecznej ilości podręczników i innych pomocy naukowych, brakiem kwalifikowanych sił, mogących stale udzielać wskazówek i wyjaśnień, przeprowadzać pogadanki i wykłady na tematy związane z programem nauki. Przeszkodą w systematycznej pracy jest również rozproszenie plutonów sekcjami w dalekich od siebie odległościach.

Pomocnicza Służba Lotnicza Kobiet

„Niezwyczajna to dla nas rzecz przyjmować kobiety do lotnictwa”. Tymi słowami witał zastępcę Dowódcy Lotnictwa ochotniczki wstępujące do służby, do polskiego W.A.A.F.-u. Sześćset kobiet polskich przybyłych z Afryki zaciągnęło się w Anglii do LSK i przeszło szkolenie oraz służbę praktyczną na stacji lotniczej brytyjskiej W.A.A.F.

Służbę Lotniczą Kobiet trzeba było tworzyć od podstaw, nie było bowiem dotąd własnych wzorów. Oparto się na wzorach brytyjskiej W.A.A.F., pełniacej swoją służbę od początku wojny i wywiązującej się znakomicie ze swego zadania.

Z-ca Dowódcy powiedział: „Różnorodne ciekawe specjalności, jakie w tej służbie nabędziecie, nie tylko przyczynią się do rozwoju naszego lotnictwa drogą zastąpienia mężczyzn przez kobiety w specjalnościach lotnictwa, odpowiadających kobiecie, lecz również pozwolą wam potem w Kraju w okresie pokoju pracować w różnych dziedzinach życia codziennego. Rola kobiety w Polsce po tej wojnie będzie znacznie większa, niż była przed wojną, wobec zniszczenia wielkiej ilości mężczyzn. Do tej roli kobieta polska musi się tutaj przygotować, by dorównać swej siostrze która niezmordowanie pracuje i walczy w Kraju. Witając was tutaj serdecznie, życzę wam równocześnie pomyślnego wyniku ochotniczego zaciągu i następnie wyszkolenia, byście naprawdę stały się godnymi munduru lotniczego i szczytnego tytułu żołnierza lotnika”.

Dnia 27. czerwca b.r. odbyło się na jednej ze stacji lotniczych już zaprzysiężenia 360 ochotniczek Pom. Sł. Lotn. Kobiet. Tekst przysięgi złożonej przez ochotniczki jest tekstem przysięgi żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych.

Do nowo-zaprzysiężonych ochotniczek przemówił dowódca lotnictwa gen. pil. M. Iżycki, który między innymi powiedział:

„... Najważniejszą rzeczą jest, byście przez waszą pracę osiągnęły cel, dla którego stworzona została Lotnicza Służba Kobiet. Celem tym jest zastąpienie przez kobiety mężczyzn na dostępnych w Lotnictwie dla kobiet funkcjach i stanowiskach. Dzięki temu, zwolnieni w ten sposób mężczyźni, będą mogli być użyci tam, gdzie tylko mężczyźni jako żołnierze pracować i walczyć może. — W tym uroczystym dla was i Lotnictwa dniu, gdy stajecie się żołnierzami, życzę wam, ochotniczki, byście stały się godnymi noszonego munduru lotniczego przez waszą wydatną pracę i poświęcenie na rzecz dobra i rozwoju Sił Powietrznych”.

Na zakończenie uroczystości Dowódca Lotnictwa przyjął defiladę dywizjonu ochotniczek, które obecnie, po ukończeniu przeszkolenia rekruckiego, zostaną skierowane na polskie stacje, względnie na dalsze szkolenie dla specjalizowania się w zawodach, w poszczególnych gałęziach służby. Z kończących obecnie przeszkolenie rekruckie ochotniczek największy procent zakwalifikowano do pracy jako mechaników lotniczych.